



***Lindsay McKenna***



***Spragnieni uczuć***

---

Tytuł oryginału: The Will To Love

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

*14 stycznia, godzina 5.45*

Wygląda na to, że ten dzień będzie jeszcze gorszy, niż sądziłem, pomyślał sierżant Quinn Grayson, parkując samochód idealnie wzdłuż krawężnika. Co do centymetra. To w wojsku zaszczepiono mu tę precyzję i z tego akurat był zadowolony, a nawet dumny. Za to co innego dawało mu nieźle w kość. Choćby dzisiaj, dopiero świtało, a miał już tyle za sobą. Jediną pociechą w tym wszystkim było zaplanowane na poranek spotkanie z Morganem Trayhernem, żyjącą legendą piechoty morskiej, którego Quinn ogromnie podziwiał i szanował.

Zdjął z głowy hełm, wsunął go pod pachę i pchnął drzwi budynku dowództwa piechoty morskiej w Camp Reed. Mimo wczesnej pory wewnątrz wrzało jak w ulu. Takiego chaosu dawno już tu nie było. Hol i boczne korytarze bezustannie przecinali pędzący dokądś pracownicy bazy, przyodziani w jasne robocze uniformy. Wyglądali jak mrówki podążające tylko sobie znanymi szlakami, pochłonięte bez reszty pilnymi sprawami. Na ich twarzach malowało się zaniepokojenie, skupienie i pośpiech. Biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, nie było w tym nic dziwnego, a jednak Quinn stał dłuższą chwilę w drzwiach, jakby dopiero teraz, przez to szaleńcze zamieszanie, uświadomił sobie rozmiar nieszczęść i strat poniesionych na skutek trzęsienia ziemi sprzed dwóch tygodni. Życie w Los Angeles było całkowicie sparaliżowane, a miliony ludzi bez dachu nad głową czekały na wodę pitną, żywność i leki. Quinn dobrze wiedział, że największe kłopoty sprawia transport, gdyż wszystkie drogi zostały zniszczone. Długo i namiętnie debatowano, w jaki sposób poprawić

sytuację uwięzionych w mieście ludzi i jak dostarczyć niezbędne do życia rzeczy.

Ale nad czym tu myśleć, skoro i tak nie było wyboru. Pozostawał tylko transport powietrzny. Quinn zdawał sobie przy tym sprawę, że to, co zobaczył wczoraj na filmie, było zaledwie czubkiem góry lodowej.

W końcu otrząsnął się i ruszył w górę na drugie piętro, gdzie punktualnie o szóstej miał spotkać się z Morganem. Zatrzymał się przed drzwiami z napisem „Departament logistyki, pułkownik Morgan Trayhera”, obciągnął mundur, wziął głęboki oddech, po czym energicznie zapukał i nie czekając na odpowiedź, nacisnął klamkę.

Pułkownik siedział przy dużym metalowym biurku. Obok niego stała młoda kobieta, oficer lotnictwa, której wydawał polecenia, spisując je jednocześnie na kartce.

Na jasnym mundurze pani kapitan Quinn dostrzegł naszywkę przedstawiającą czarne skrzydła. Służyła więc w brygadzie helikopterów bojowych. Odważna kobieta, przemknęło mu przez głowę.

Morgan wreszcie skończył i spojrzał w stronę drzwi.

- O, Quinn, dobrze, że jesteś - powiedział z wyraźnym zadowoleniem. - Poczekasz moment?

- Tak jest, sir - odparł, salutując. - Dzień dobry, pani kapitan - zasalutował ponownie i skinął głową.

Odpowiedziała lekkim, mimowolnym uśmiechem.

- Dzień dobry, możecie spocząć, sierżancie Grayson.

- Napijesz się kawy, Quinn? - zapytał pułkownik, spoglądając na stos dokumentów, które czekały na podpisanie.

- Nie, sir, dziękuję. - Zauważył ze zdziwieniem, że Morgan był ubrany po cywilnemu, w dżinsy i czerwoną koszulę z podwiniętymi rękawami. W tym stroju jakoś mu nie pasował do tego miejsca.

- Poszukaj sobie kubka i obsłuż się, synu. Bądź tak miły, to potrwa jeszcze kilka minut - dodał po chwili pułkownik, jakby nie słyszał, co powiedział Quinn.

- Dziękuję, sir. - Pewnym ludziom nawet w drobiazgach nie należało się sprzeciwiać bez wyraźnej potrzeby, a Morgan bez wątplenia do takich należał. Quinn więc sięgnął na półkę po ostatni czysty kubek i nalał sobie kawy, na którą kompletnie nie miał ochoty.

Po chwili Morgan z wyraźną ulgą odłożył długopis i wręczył pani kapitan listę rozkazów.

- Proszę, kapitan Jackson. Od tej chwili jest pani odpowiedzialna za szóstą strefę.

- Tak jest, sir. - Zasalutowała energicznie. - Zrobię, co w mojej mocy, żeby nie zawieść pana i tych biednych ludzi.

Morgan uśmiechnął się ciepło. Kapitan Jackson, choć musiała dobiegać trzydziestki, miała w sobie coś z dziecka. Krótkie czarne włosy, szare ogromne oczy, a w nich ten błysk - niecierpliwy błysk małej dziewczynki, która nie może się doczekać na prezent. Czy nigdy nie zniknął z nich ten wyraz? Bez wątplenia zadanie, które jej powierzono, wywoływało w niej silne emocje. Miała to wypisane na twarzy.

Od wczoraj zaczęli zjeżdżać do Camp Reed piloci z innych baz piechoty morskiej. Takie wsparcie okazało się nieodzowne. Akcji ratowniczej nie można było przerwać ani na chwilę i piloci z Camp Reed, wprawdzie niezgodnie z przepisami, ale z uwagi na wyższą konieczność,

latali po dwanaście godzin na dobę. Jeszcze trochę, a dojdzie do seryjnych, tragicznych w skutkach pomyłek. Żaden, nawet najbardziej zahartowany organizm, nie był w stanie wytrzymać takiego napięcia i takiej orki przez dłuższy czas.

- Proszę na siebie uważać, pani kapitan - powiedział pułkownik, podnosząc się z krzesła. - Jedną załogę już straciliśmy. Jak pani wie, poruszamy się po wyjątkowo niepewnym terenie. Proszę zaraz po przybyciu nawiązać łączność z bazą. Powodzenia.

- Tak jest, sir! Będziemy ostrożni.

- Może pani odejść - dodał cicho i spojrzał na nią ciepło, jakby była jego córką, a on wysyłał ją gdzieś daleko, nie mając żadnej pewności kiedy, i czy w ogóle wróci.

Potem przeniósł wzrok na Quinna i uśmiechnął się szeroko, jakby dopiero teraz go zauważył. Sierżant w zadumie patrzył przez okno, trzymając w dłoniach niechcianą kawę.

- Pójdziemy zobaczyć się z Laurą, co ty na to? -Morgan wyrwał go z rozmyślań. - Mam teraz wolną chwilę, pewnie drugiej dzisiaj już nie będzie. Tu, mój drogi, trzeba łapać takie okazje. Carpe diem, jak mawiał stary Horacy. Chwytaj dzień, mój drogi! A poza tym Laura z pewnością się ucieszy, kiedy cię zobaczy.

- To znaczy, że pańska małżonka jest tutaj? Sądziłem, że przebywa w Montanie. Dobrze pan wie, pułkowniku, że odwiedzę ją z największą przyjemnością. - Wcale nie przemawiała przez niego tylko grzeczność.

Żonę Morgana poznał jakiś czas temu w tajnej bazie w Iraku podczas akcji pod kryptonimem „Perseusz”. Była piękna, elegancka i dobra. Już

wtedy doszedł do wniosku, że Morgan musi być najszcześniejszym człowiekiem pod słońcem.

- Kiedy zaczęło się trzęsienie ziemi, byliśmy w jednym z hoteli na południe od Los Angeles. Świątowaliśmy nadejście nowego roku. Podejrzewam, że w takim dniu nawet stacje sejsmologiczne pozwoliły sobie na odrobinę luzu i niefrasobliwości. - Ruszyli długim korytarzem, mijając mnóstwo osób, a potem niemal zbiegli po schodach. - Oczywiście nikt nie spodziewał się katastrofy, i nagle świat oszalał. Nim się zdążyłem obejrzeć, Laurę zasypało...

- Zasypało panią Laurę?! - krzyknął z prawdziwym przerażeniem.

- Tak - odparł Morgan, nieco zaskoczony tak silną, spontaniczną reakcją Quinna. - Odnalazł ją pies z brygady poszukiwawczej. - Pułkownik szedł tak szybko, że Quinn z trudem dotrzymywał mu kroku. - Laura leży teraz w szpitalu.

Powietrze przecinał raz po raz ryk startujących i lądujących odrzutowców oraz helikopterów ratunkowych, zlewając się i mieszając z warkotem silników ciężarówek, które niekończącą się karawaną sunęły asfaltową drogą.

- To coś poważnego? - zapytał Quinn nieco spokojniej, marszcząc brwi.

- Złamała nogę, więc niby nic wielkiego jak na to, co ją spotkało, ale utworzył się skrzep i nie chcą jej wypuścić ze szpitala. Kiedy ją zasypało, był to dla niej prawdziwy koniec świata, jakby znalazła się w ciasnym grobie... - Wzdrygnął się. - Ale teraz wcale nie jest lepiej. Wiesz, Laura nie należy do osób cierpliwych. Rozpaczała, że umrze z bezczynności, bo na kilka dni umieścili jej nogę na wyciągu i została przykuta do łóżka.

Zbyt długo czekaliśmy na leki przeciwwzakrzepowe, na rozrzedzenie krwi. - Nerwowo zatarł dłonie. - Szczęśliwie lekarze twierdzą, że zagrożenie już minęło i być może dzisiaj zwolnią ją do domu. Wprawdzie jeszcze jakiś czas skazana będzie na wózek lub kule, ale to o wiele lepiej, niż tkwić w bezruchu na szpitalnym łóżku. I tak jest bardzo dzielna, ja po dwóch tygodniach takiego życia chyba bym oszalał.

- A jak pani Laura to zniosła? - spytał z obawą w głosie Quinn.

- Średnio, choć bardzo jej pomogło, gdy zaczęła zajmować się niemowlakiem wydobytym ze zgliszczy, a także innymi dziećmi, które przynoszono na jej oddział. Już z nią lepiej.

Quinn uśmiechnął się pod nosem. O tak, Laura miała w sobie tak dużo instynktu macierzyńskiego, że z radością musiała się podjąć takiego zadania. Lubił to specyficzne ciepło, z jakim kobiety zwracały się do dzieci.

Wreszcie dotarli na oddział chirurgiczny. Laura siedziała na wózku i tuliła do siebie niemowlaka. Uniosła na moment głowę.

- O, witaj, Quinn - powiedziała z uśmiechem, po czym przeniosła wzrok na malca, który energicznie ciągnął mleko z butelki.

- Nic nie wiedziałem o tym wypadku... - zaczął onieśmielony. - Słyszałem, że czuje się pani już lepiej.

- Oczywiście że świetnie się czuję. Strasznie tu przesadzają, nic mi nie jest - odparła lekceważąco.

Morgan podszedł bliżej i cmoknął żonę w czoło, potem delikatnie pogładził niemowlę po policzku. A zatem pod twardą maską legendarnego oficera kryło się mnóstwo ciepłych uczuć.



- No dobra... - Wyprostował się i spojrzął na Quinna, jakby chciał zatuszować czułe gesty. - Posiedzimy tu przez chwilę, a przy okazji pogadamy o akcji, w której masz wziąć udział. - Gdy usiedli przy stoliku, Morgan otworzył czerwoną teczkę, którą do tej pory ścisnął pod pachą.

Quinn w kilku miejscach dostrzegł swoje nazwisko.

- Dziś rozpoczynamy plan „B”. Wprawdzie ludzi jest za mało, a warunki wyjątkowo trudne, ale coś trzeba robić. Nie możemy dłużej zwlekać. Potraktujmy to jak próbę. Nie mam pojęcia, czy to zaskoczy, ale nie będziemy z założonymi rękami czekać na cud. Pójdziecie na pierwszy ogień. - Popatrzył badawczo na Quinna, by sprawdzić jego reakcję, ten jednak ani drgnął. - Całkowita improwizacja, działanie po omacku, bo nic nie wiemy, jaka tam jest sytuacja. Cały obszar podzieliliśmy na dwanaście stref o powierzchni od dwudziestu pięciu do pięćdziesięciu kilometrów kwadratowych. Wpływ na podział miało wiele czynników, lecz głównie braliśmy pod uwagę zaludnienie. Do każdej strefy przypisana została jedna drużyna.

- Pięć osób na taki teren? - Quinn nie wierzył własnym uszom.

- Niestety na razie tylko tym dysponujemy. Pamiętaj, że zniszczone są wszystkie drogi i o dotarciu na miejsce drogą naziemną nie ma mowy. Przynajmniej na razie. Ekipy pracują dzień i noc, żeby to umożliwić. Tydzień temu - podał Quinnowi faks - dostaliśmy informację od szeryf Kerry Chelton, jedynej policjantki w strefie piątej, która przeżyła i miała na tyle rozumu, żeby się z nami skontaktować. To cholernie inteligentna i zaradna babka. Wyszperała w gruzach jakieś radio, przerobiła je na aparat nadawczo-odbiorczy i łączy się z nami codziennie. Kilka razy z nią rozmawiałem. Dostarczyła nam mnóstwo ważnych informacji. Wiem, że



sytuacja w strefie piątej jest bardzo trudna, wielu ludzi potrzebuje pomocy, wielu umiera każdego dnia w cierpieniach... a my nie możemy do nich dotrzeć. To prawdziwa tragedia, że w czasach dobrobytu i rozwiniętej techniki każdego dnia ginie tylu ludzi, a my nie potrafimy temu zapobiec. Brakuje im wody i jedzenia, leków... dosłownie wszystkiego. Chodzi o miliony ludzi aż trudno sobie wyobrazić, że są odcięci od świata. A do tego te rozboje...

- Słyszałem o gangu, który działa w tej strefie -wtrącił Quinn.

- Właśnie. - Morgan pokiwał głową. - To będzie twoje główne zadanie. - Uniósł wzrok i spojrzał Quin-nowi prosto w oczy.

- Niczego bardziej nie pragnę, sir.

- Niedawno zabili dwóch pilotów śmigłowca ratunkowego. To bardzo niebezpieczne zadanie.

Quinn jeszcze raz spojrzał na faks, na którym widniało zdjęcie Kerry Chelton. Była wyjątkowo piękną i atrakcyjną kobietą. Nie często widywało się takie w wojsku czy policji. Zaskoczyło go, że tak wspaniale poradziła sobie w sytuacji, która z pewnością przerosłaby niejednego mężczyznę. Poglądy miał raczej konserwatywne i nie bardzo rozumiał, po co kobiety pchały się na wojnę. Oczywiście podziwiał je za to, z drugiej jednak strony...

- Dziś, punktualnie o ósmej masz zgłosić się ze swoimi ludźmi do punktu: L Z ECHO. Stamtąd zostanieie przetransportowani do strefy piątej, na parking dawnego centrum handlowego. Będzie was tam oczekiwać szeryf Chelton. Pilnie potrzebuje waszego wsparcia. Do tej pory była osamotniona w swych działaniach, jest więc bardzo wyczerpana.

- Kto przejmie dowództwo? - zapytał Quinn.

- Wspólnie zajmiecie się tą sprawą.

- Wspólnie? Przecież tu chodzi o gang Diabolo, dlaczego więc w takiej akcji ma mieć coś do powiedzenia cywil? - Sam przeraził się tym, co powiedział. Zrobiło mu się cholernie głupio, i do tego jeszcze ten „cywil”... Zabrzmiało to jak obelga.

Twarz pułkownika Trayherna pociemniała, a jego spojrzenie zamieniło się w dwa sople lodu.

- Posłuchaj, Quinn - powiedział cicho, z naciskiem. - Kerry Chelton od prawie dwóch tygodni działa sama, bo straciła wszystkich swoich ludzi. Wielu z nas wpadłoby w panikę, a ona działa jak perfekcyjny, wieloosobowy zespół. Sama, rozumiesz? Dokonuje cudów.

Określiła potrzeby strefy, przygotowała bazę dla operacji, zlokalizowała gang Diabolo. Bez niej poruszałibyśmy się jak we mgle. Twoja drużyna została wybrana do tego zadania, bo wszyscy macie medyczne przygotowanie, a to bardzo ważne w tej sytuacji. Ale bez Kerry nic by nie było możliwe, rozumiesz?

Quinn, całkowicie zaskoczony gwałtowną reakcją szefa, w pierwszej chwili nie mógł wydobyć z siebie ani słowa.

- Pytałem, czy to jasne? - dobitnie powtórzył pułkownik.

- Tak jest, sir!

- Lecicie tam jako forpoczta. Jeśli się powiedzie, jest szansa, że będziemy mogli pomóc także innym.

Reprimenda pułkownika podziałała na Quinna jak kubeł zimnej wody. Spuścił wzrok i przez chwilę milczał. Potem przyjrzał się raz jeszcze dokumentom.

- Czy zrozumiałeś, co do ciebie mówię?

- Tak jest, sir.

- Zapomnij o swoich uprzedzeniach wobec kobiet. - Morgan zmarszczył brwi. - Osobiste urazy to ostatnie, czego mi teraz trzeba. A wierz mi, że tę kobietę z miłą chęcią zatrudniłbym przy operacji „Perseusz”. Potrafi myśleć, jest kreatywna, a do tego niezwykle spostrzegawcza. To jedyna osoba z tej strefy, której udało się nawiązać z nami kontakt. Sam nie wiem, jak tego dokonała. Chciałbym więc, byś traktował ją na równi z sobą, bo w niczym ci nie ustępuje.

Quinn poczuł bolesne ukłucie w sercu. Od momentu rozstania z Frannie Walton nie potrafił w pełni zaufać żadnej kobiecie. Może nie odczułby tego aż tak boleśnie, gdyby nie wiedział, że Frannie cynicznie wykorzystwała go do własnych celów.

A teraz miał działać ramie w ramie z jakimś szeryfem w spódnicy. Wojna z gangiem Diabolo w zrujnowanym mieście to nie zabawa... Cóż, w regionie, z którego pochodził, czyli w Kentucky, kobiety wciąż jeszcze były kobietami i nie chwyciły się męskich zawodów. Były kochającymi żonami i matkami i na ogół w ogóle nie pracowały.

- Stworzycie wraz z Kerry centrum dowodzenia kontynuował Morgan.

Quinn otrząsnął się i próbował się skupić na słowach pułkownika.

- Kerry będzie waszym łącznikiem z ludnością cywilną. Zna ten teren jak własną kieszeń, zna wielu ludzi... Krótko mówiąc, jesteście na nią skazani. Bez niej zginiecie, nim na dobre zabierzecie się za wykonanie zadania. Musicie pomóc szeryf Chelton w opanowaniu sytuacji, przede wszystkim w utrzymaniu porządku publicznego. Czeka was twarda walka, bo bandytyzm szerzy się coraz bardziej. Musicie natychmiast reagować na

wszelkie oznaki chaosu i rozprzeżenia. Ludzie są zdesperowani, na granicy wytrzymałości, co działa bardzo demoralizująco. Coraz więcej jest kradzieży i aktów przemocy. Czekają was też inne zadania. Na przykład Kerry próbuje zlokalizować ujęcie wody pitnej, ale na razie jej się to nie udało. Musicie jej w tym pomóc, jak i w innych sprawach tego typu. No i dochodzi jeszcze opieka medyczna... - Pułkownik wiedział, że dla pięciu mężczyzn jest to zadanie ponad siły, ale musiał zaryzykować. Quinn Grayson był najlepszy i jeśli jemu się nie uda...

- Sir, jeśli dobrze zrozumiałem, powinniśmy zrealizować następujące cele: po pierwsze mamy rozbić gang Diabolo, po drugie pomóc Kerry Chelton w zorganizowaniu centrum dowodzenia, po trzecie zapewnić spokój i porządek, po czwarte zadbać o sprawy bytowe, jak choćby to ujęcie wody, po piąte zapewnić podstawową opiekę medyczną.

- Tak, właśnie tak. Otrzymujesz ogólny zakres działań, ale priorytety wyznaczysz sam, jak już się zorientujesz w sytuacji. Jedno jest pewne, ludzie czekają na tę pomoc i na pewno wam się podporządkują, oczywiście poza bandytami. Najgroźniejszy jest Diabolo. Jak wynika z raportów Kerry, gang działa zgodnie z pewnym schematem. Atakują w małych, kilkusobowych grupkach, udając ekipy ratunkowe. Najpierw wypytują, czy rodzina dysponuje zapasami wody i żywności, a potem biorą dziecko na zakładnika i bez przeszkód plądrują cały dom. W pierwszym rzędzie rabują wodę, żywność i lekarstwa, bo na tamym terenie ma to największą wartość, a przy okazji wynoszą też pieniądze, biżuterię i inne wartościowe przedmioty. Zabili już podczas takich napadów kilka osób, więc nikt nie próbuje podejmować z nimi walki.

Ludzie są bezradni, gdyż wiedzą, że ci z Diabolo pozbawieni są wszelkich skrupułów. Najpierw strzelają, a dopiero potem zadają pytania.

Quinn poczuł w sobie narastającą wściekłość. O niczym innym nie marzył, jak tylko dostać tych bandziorów w swoje ręce. Najwyższy czas rozprawić się z nimi.

- Znamy ich przywódcę?

- Nie, ale Kerry ma pewne podejrzenia. Stara się wytropić gangsterów, dotrzeć do ich bazy, depta im po piętach.

- To niebezpieczna zabawa...

- Wygląda na to, że ta kobieta nie wie, co to strach. Systematycznie informuje nas o ruchach Diabolo, rozgryzła już sporo, ale wciąż za mało. Przypomina to grę w podchody, jednak mam nadzieję, że już wkrótce wszystko się zmieni. Chcę mieć ich żywych. Quinn, nie raz pracowaliśmy ze sobą i wiem, czego mogę się po tobie spodziewać. Liczę na ciebie. Jeśli nie ty, to kto? W końcu to ty pochodzisz z Kentucky, krainy tropicieli i myśliwych.

- Dziękuję za zaufanie, sir.

- Proszę cię tylko, staraj się jak najlepiej współpracować z Kerry Chelton. O inne sprawy się nie martwię. Jeśli się postarasz, czuję, że stworzycie znakomity zespół.

- Tak jest, sir, nie zawiedzie się pan na mnie i na mojej drużynie. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby misja się powiodła, proszę mi wierzyć.

- Wiem, że tak będzie. - Morgan wyciągnął dłoń na pożegnanie. - Daj z siebie wszystko i patrz, co i komu dajesz - zażartował. - Życzę ci powodzenia, Quinn, tobie i twoim ludziom.

A więc przewrotny los znowu postawił na mojej drodze kobietę, pomyślał Quinn. Szeryfa w spódnicy. Może to przeznaczenie, a może tylko głupi zbieg okoliczności? Nie miał pojęcia, co o tym wszystkim sądzić. Ale cóż, pułkownik Trayhern bardzo wysoko cenił Kerry Chelton, a był człowiekiem mądrym i godnym zaufania. Więc może faktycznie nie wszystkie kobiety są takie jak Frannie, może na niektórych rzeczywiście można polegać?

RS

## ROZDZIAŁ DRUGI

*14 stycznia, godzina 8.30*

Kerry Chelton po raz pierwszy od trzęsienia ziemi poczuła, że wstępuje w nią nadzieja. Jakby na końcu długiego, ciemnego tunelu nagle ujrzała małe, migocące światełko. Tak marzyła o tej chwili, a teraz, kiedy wreszcie nadeszła, była w szoku, bo oto dotarło do niej, że w głębi duszy nie wierzyła, by kiedykolwiek miała zjawić się pomoc.

Stała na opustoszałym parkingu dawnego centrum handlowego w swoim, pozał się Boże, mundurze, który składał się z zielonych, wyświechtanych, od wielu dni niezmiennych bojówek i ocieplanej bluzy. Rozpierała ją radość. Z niecierpliwą nadzieją patrzyła na dwa śmigłowce piechoty morskiej, które podchodziły do lądowania. Czy to dzieje się naprawdę, czy też znów pada ofiarą sennej ułudy? Tyle razy śniła jej się ta chwila... Przykryła oczy dłonią, by uchronić je przed tumanami piasku. To nie może być sen, ten hałas silników, ten drażniący pył... Wszystko było zbyt prawdziwe.

W pobliżu pojawiło się kilkanaście osób, które miały nadzieję na dostawę świeżej wody. Pojemniki miały być ustawione na przeciwległym krańcu centrum handlowego. Takie wieści rozchodziły się z prędkością światła. Na szczęście grasująca po okolicy banda ostatnio nieco się uspokoiła i ludzie nabrali trochę pewności siebie. Zaczęli wylegać na ulice, choć nadal nieufnie spoglądali na innych.

Kerry wiedziała, że w jednym ze śmigłowców znajduje się pięcioosobowa drużyna piechoty morskiej, skierowana przez Morgana do akcji w Philipsburgu. Dopiero teraz zrozumiała, jak wielkie nadzieje



pokładała w pułkowniku. Tak bardzo na niego liczyła, ona i tysiące ludzi uwięzionych tu od dwóch tygodni. W oczach Kerry zakręciły się łzy. Jakże była temu człowiekowi wdzięczna! Odkąd udało jej się nawiązać kontakt z bazą piechoty, nieustannie dodawał jej otuchy i motywował do działania, choć zawsze przy tym prosił, by zachowała najwyższą ostrożność. Jego ciepły, spokojny głos pomógł jej przetrwać te trudne dni. W najlepszych słowach wyrażał się o sierżancie Quinnie Graysonie, który na dodatek był wykwalifikowanym sanitariuszem. Boże, ktoś taki bardzo się tutaj przyda! Już nie mogła się doczekać na spotkanie z sierżantem Graysonem i jego ludźmi. Jej serce waliło jak oszalałe. Od czternastu dni oszołomiona bezmiarem nieszczęścia, jakie rozgrywało się wokół, przestała odczuwać cokolwiek, a jej serce zdawało się w ogóle nie istnieć. Jak dobrze było znowu poczuć, że żyje!

Helikoptery wylądowały na przestronnym parkingu. Po chwili na płycie lądowiska wyskoczył pierwszy z żołnierzy. Z pewnością to właśnie jest Quinn Grayson, pomyślała podekscytowana Kerry. Nie widziała dlaczego jest tego taka pewna, po prostu tak podpowiadało jej przeczucie. Był wysoki, barczysty i zdecydowany, a jego ruchy były zaplanowane i precyzyjne. Po krótkiej lustracji rzucił rozkaz i po sekundzie czterech żołnierzy stało obok helikoptera. Dostrzegła, że szuka jej wzrokiem. Machinalnie postąpiła krok do przodu i natychmiast poczuła na sobie jego wzrok — wzrok sokoła. Wpatrywał się w nią badawczo, jakby chciał w jednej chwili wszystkiego się o niej dowiedzieć. Nie było to jednak możliwe, odległość bowiem była zbyt duża. Po krótkim wahaniu ruszyła szybkim krokiem w stronę śmigłowców. Serce waliło jej jak młotem. Co

się ze mną dzieje? - zastanawiała się przez moment, ale nie miała wiele czasu na myślenie.

Wróg czy przyjaciel, próbował oszacować ją Quinn. Pomoc, czy też jeszcze jeden kłopot i kolejny zawód? Ale już po chwili stała przy nim i nie było kiedy snuć dalszych domysłów i prognoz na przyszłość.

Na twarzy Kerry od dwóch tygodni nie gościł uśmiech, zapomniała, jak to jest, kiedy czuje się radość. Ze zdziwieniem stwierdziła, że kąciki jej ust wędrują do góry. Wciąż czuła na sobie badawcze spojrzenie Graysona, ale jej to nie przeszkadzało. Jego przymrużone niebieskie oczy zdały się jej przyjazne, co dziwne, bo w istocie przypominały lodowce, które widziała podczas wyprawy na Alaskę ze swoim, teraz już nieżyjącym mężem. Powinien więc przeszyć ją zimny dreszcz, i przeszył, zarazem jednak Kerry była w tej chwili najszcześliwszym człowiekiem na świecie.

Quinn miał owalną twarz z mocno zarysowanymi kośćmi policzkowymi, wąskie usta i prosty, długi nos. Niewielkie bruzdy na policzkach wskazywały, że lubił się śmiać. Jak cudownie było poczuć się znowu bezpiecznie, po raz pierwszy od trzęsienia ziemi.

Grupa wolontariuszy ruszyła w stronę drugiego ze śmigłowców. Mieli zadanie przetransportować zapasy wody do magazynu, potem zaś zająć się jej dystrybucją.

Kerry wyciągnęła dłoń.

- Sierżant Grayson?

- Tak jest! - Quinn zsalutował i uścisnął jej rękę.

- Kerry Chelton - powiedziała z uśmiechem. - Witamy na tym niewielkim, zapomnianym przez Boga skrawku ziemi. Bardzo się cieszę, że nie będę już osamotniona w tej szaleńczej walce o przetrwanie.

Quinn obiecywał sobie podczas lotu, że nie będzie wdawał się z szeryf Chelton w żadne prywatne układy. Ale teraz, kiedy ta wysoka, smukła i czarująca kobieta wyciągnęła do niego w tak przyjaznym geście podrapaną i umorusaną dłoń, nie był pewny, czy uda mu się dotrzymać obietnicy. Z pewnością wpłynęła na to ulga, którą dostrzegł w jej ogromnych, szarych oczach. Szczerze cieszyła się z jego przybycia, co całkiem zrozumiałe, ale zarazem nie zamierzała z nim konkurować ani ustawiać go pod ścianą. Po prostu to czuł.

Sprawa wcale nie była błahej natury, bo wybujane ambicje czyniły wiele zła. Wiedział o tym z doświadczenia, a tu sytuacja z samej swej natury groziła kompetencyjnym konfliktem. On był tylko sierżantem i pochodził z zewnątrz, a ona oficerem działającym na swoim terenie. Lecz on był wojskowym i mężczyzną, ona zaś służyła jedynie w policji i była kobietą...

Z miejsca nabrał jednak pewności, że współpraca ułoży się jak należy. Rozluźnił się. Może nawet uda mu się całkiem prywatnie zaprzyjaźnić z panią szeryf?

Musiał przyznać, że ujęła go radosnym, spontanicznym przywitaniem... i nagle pomyślał, że w jakiś sposób czuje się szczęśliwy.

Był to czysty absurd, ale jakie to miało znaczenie? Głupie myśli przychodzą i odchodzą, a zadanie i tak trzeba wykonać.

Kerry Chelton wyglądała na kompletnie wyczerpaną. Głębokie cienie pod oczami, przeraźliwa bladość... Lecz jej wzrok jaśniał radością, uśmiechała się cudownie, szczerze, szeroko. Nadzieja wprost ją uskrzydlała.

Ileż ona musiała przejść... ile trudów pokonać...

Quinn poczuł wzruszenie. Musiał się powstrzymać, bo bardzo chciał wtulić w ramiona tę dzielną kobietę, pocieszyć ją, spowodować, by choć na chwilę zapomniała o napięciu, które towarzyszyło jej od dwóch tygodni.

Przy tym nie ulegało wątpliwości, że była bardzo dzielna, świetnie zorganizowana i nadzwyczaj opanowana. Gdy przybyła pomoc, pozwoliła sobie wprawdzie na spontaniczny odruch radości, i było to zrozumiałe, natomiast zaimponowała Quinnowi tym, że nie zarzuciła go na wstępie tragicznymi informacjami, nie narzekała, nie lamentowała. Patrzyła mu wprost w oczy z nieukrywaną radością i ulgą, i po prostu się uśmiechała. Cudownie, uroczo, ciepło, szczerze...

Nie była więc babą - chłopem, obsesyjnie na każdym kroku rywalizującym z facetami twardzielem, czego tak się obawiał. Nie grała też bohaterki, która okrutnym zrzędzeniem losu znalazła się w tragicznej sytuacji, a jednak nie załamała się, tylko toczyła heroiczną walkę. Byłoby to irytujące, żenujące... i zupełnie nie w stylu Kerry Chelton. Już o tym wiedział.

Bo ona po prostu była tu podczas trzęsienia ziemi, więc chciała pomóc, i to wszystko. Poczuł, jak jego serce mięknie, jak emocje zaczynają wymykać się spod kontroli. Uścisk jej dłoni był mocny, ale ciepły. Ręce miała smukłe i delikatne, a palce długie, i choć były teraz prawie czarne, to jednak ich dotyk wywołał w nim rozkoszny dreszcz. Jakże chętnie pomógłby jej doprowadzić włosy do ładu! Ale cóż, w tych warunkach nie warto było nawet pomarzyć o kąpieli... więc to musi poczekać...

Oj, niedobrze, pomyślał, bo przecież ostatnia rzecz, której chciał obecnie, to bliski układ z jakąkolwiek kobietą.

- Sierżant Grayson! - krzyknął, by przedrzeć się przez łoskot śmigieł.

- Bardzo mi miło.

- Mnie również - odparła szybko. - Chodźmy do mojego biura - zawołała, wskazując ruiny centrum handlowego.

Po jej plecach przebiegł dreszcz, poczuła ciepło rozchodzące się po całym ciele. Jaka szkoda, że nie mogę się do niego przytulić, pomyślała. Wprawdzie zdawała sobie sprawę, że reaguje tak dziwnie z powodu długotrwałego stresu, zrobiło jej się jednak smutno.

Ruszyli przed siebie, a drużyna składająca z się z czterech zwinnych, młodych chłopaków poszła za nimi. Dopiero teraz dostrzegła, że sierżant Grayson pod mundurem miał kamizelkę kuloodporną, a przy klapie marynarki głośnik. Rozmawiał właśnie z pilotem śmigłowca, informując go, że wszystko przebiega zgodnie z planem i że mogą wracać do bazy.

Ponieważ rozładowano już zapasy wody, oba śmigłowce wzbily się do góry i wkrótce zniknęły z pola widzenia. Kerry odprowadziła je wzrokiem, a potem głęboko westchnęła.

Gdy Quinn dał znak, jego ludzie uformowali się w szyku litery „V” i szli za nimi z bronią gotową do wystrzału. Rozejrzał się dokoła. Skala zniszczeń była nieprawdopodobna, jeszcze nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego. Trudno sobie było wyobrazić, co działo się tu tuż po tragedii.

Nagle zatrzymali się przed czymś, co najwyraźniej służyło za drzwi biura.

- Jesteśmy - powiedziała cicho. - To mój dom.

W oczach Kerry zakręciły się łzy. Jej prawdziwy dom wyglądał całkiem inaczej. Jeszcze dwa tygodnie temu stał niedaleko stąd. Już nigdy do niego nie wróci, bo została po nim jedynie kupa gruzu.

Nieopodal grupa wolontariuszy zajęła się rozlewaniem wody do butelek.

- Potem zanoszą je do centrum dystrybucji - wyjaśniła Kerry. - Każdy otrzyma swój przydział.

- Nie zdarzają się bijatyki? Nie ma kłótni, co kto ma dostać i co się komu należy?

- Jeszcze nie, ale ludzie są coraz bardziej wyczerpani i zdesperowani.

Zza przepierzenia zrobionego z koca wyłoniła się czarnowłosa główką małej, może siedmioletniej dziewczynki. Ubrana była w poszarzałą, różowawą koszulkę nocną, spod której wystawały chude jak patyczki nogi, a na stopach miała czerwone, ciepłe skarpetki. Mała potarła zaspane oczy i ziewnęła przeciągle. Kerry podeszła do niej i wzięła ją na rękę.

- To jest Petula - powiedziała ciepło. - Jej rodzice... - zawahała się przez moment - jej rodzice są w niebie - dokończyła po chwili. Wzrokiem przekazała Quinnowi, by nie podejmował tego tematu, by przyjął takie same zasady gry. - Jesteśmy razem już od dziesięciu dni, od chwili kiedy wydobyliśmy Pet z ruin domu.

Grayson widział, jak mała całym ciałem ufnie przylgnęła do Kerry. Miała ogromne lśniące oczy i długie czarne włosy.

- Jestem głodna - szepnęła do Kerry.

- Wiem, Pet. Zobaczymy, co uda nam się zdobyć -uspokajała Kerry dziewczynkę, gładząc ją po plecach.

Quinn patrzył na tę scenę z prawdziwym przerażeniem, jakby dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę z ogromu katastrofy, która miała miejsce dwa tygodnie temu i z bezradności ludzi uwieczonych na tym skrawku ziemi, jak powiedziała Kerry, ziemi zapomnianej przez Boga. Zaklął w duchu, myśląc o tym, że każdy z nich zabrał ze sobą trzydziestokilogramowy plecak po brzegi wypchany żywnością.

- Nie martw się - odezwał się po chwili. Dlaczego w ogóle się wahał? Był na siebie za to zły. - Mamy ze sobą jedzenie. Póki co starczy dla nas wszystkich. - Poczuł się jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku, który musi oddać swe łupy.

- To cudownie! To wspaniale! - Na twarzy Kerry widoczna była ulga i radość, a w jej oczach pojawiły się łzy. Sama się zdziwiła, jak niewiele potrzeba jej było do szczęścia. Wystarczyłby kawałek chleba z masłem dla Pet i już uśmiech nie zniknąłby z jej ust ani na chwilę. Dziewczynka, odkąd zamieszkała u niej, często płakała. Płakała za rodzicami, za którymi tęskniła dzień i noc, i płakała z głodu. Kerry czuła się chwilami bezradna i strasznie ją to bolało. Udało jej się jakoś wytłumaczyć małej, że rodzice nie mogli tu dłużej zostać i poszli do nieba, a teraz patrzą na nią z góry i czuwają nad swoją córeczką. Ale jak miała jej wytłumaczyć, że powinna zlekceważyć głód, nie myśleć o jedzeniu? Na to Pet była za mała. Tak bardzo przywiązała się do tego dziecka, że aż ją to przerażało, ale bezbronność Pet obudziła w niej instynkt macierzyński. Wiedziała, że gdyby nie uczucia wyższe, każdemu wydarłaby z ręki pożywienie, by zaspokoić głód swojej podopiecznej. - Słyszałaś? - zwróciła się do dziewczynki. - Zaraz dostaniesz coś do zjedzenia.



Quinn odwrócił się do swoich ludzi i wydał rozkazy. Mieli dokładnie zlustrować całą okolicę, a potem patrolować rejon centrum dystrybucji. Drużyna Graysona składała się z trzech szeregowców i jednego plutonowego. To byli świetni chłopcy, sam ich wybierał. Orvil Perkins, który pochodził ze wzgórz Wirginii, miał dopilnować, by dystrybucja wody przebiegała sprawnie i bez zakłóceń, zaś plutonowy Bean Parish wziąć ze sobą Cliffa Ludlowa i Lewisa Wortha i pójść na zwiady. Parish, jako że wywodził się z indiańskiego plemienia Czerokozów, był fantastycznym tropicielem i nikt w tej dziedzinie nie miał z nim szans. Zresztą Quinn znał swoich ludzi jak własną kieszeń, bo tworzyli zespół od dwóch lat. Mógł liczyć na nich zawsze i wszędzie.

- Czy gangsterzy z Diabolo mają jakiś znak rozpoznawczy? Jak ich odróżnić od zwykłych ludzi? - zwrócił się nagle do Kerry.

- Noszą na głowie białe przepaski, ale nie zawsze. Ich technika polega na tym, że najpierw zdobywają zaufanie, a dopiero potem, gdy wezmą już zakładnika, wkładają je na głowę.

- Słyszeliście? - ryknął Quinn do nadajnika. - Mogą niczym się nie różnić. Musicie mieć oczy i uszy otwarte. Jak zaobserwujecie coś nietypowego, dajcie mi natychmiast znać. Chcę porozmawiać jeszcze z szeryf Chelton, muszę zdobyć maksymalną liczbę informacji, a więc będę cały czas w jej biurze. Po zakończeniu akcji wracajcie tutaj.

- Perkins, ty zostajesz w centrum dystrybucji -zacomenderował Parish. - Reszta idzie ze mną.

Quinn stał przez chwilę i przyglądał się, jak Pet tuli się do Kerry. Ta scena wywołała w nim silne wzruszenie, a zarazem zapragnął też znaleźć się w ramionach tej delikatnej, a przy tym jakże dzielnej kobiety. Jak

cudownie byłoby czuć dotyk jej rąk na swoim ciele i poznać smak jej ust, kołatało mu się po głowie.

Obiecywał sobie nie wchodzić w najbliższym czasie z żadną kobietą w bliższe układy, ale wiedział już, że nie będzie to możliwe, że Kerry Chelton nie dotyczą żadne reguły. Co więcej, miał wrażenie, jakby to los rzucił ich sobie w ramiona. Ta historia będzie miała swój nieuchronny ciąg dalszy.

- Chodźmy - powiedział prawie szeptem, nie chcąc zbyt brutalnie przywoływać Kerry do rzeczywistości - muszę was przecież nakarmić.

Po chwili weszli do czegoś, co Kerry nazywała swoim domem. Była to kupa gruzu, cegieł i połamanych płyt poukładanych jedna na drugiej. Quinn zacisnął zęby. Ilu ludzi żyje tu w takich warunkach? I są szczęśliwi, że w ogóle mają dach nad głową...

Gdy znalazł się w środku, za parawanem z koca, zabezpieczył broń i odstawił ją na bok. Nie chciał, by przez przypadek, gdyby mała zainteresowała się jego karabinem, wydarzyło się coś nieprzewidzianego. Potem usiadł i rozejrzał się wokół. Wnętrze „domu” okazało się całkiem przytulne, podłoga wyścielona była nowiutkimi dywanami, które Kerry przytargała tu z centrum handlowego. Było czysto i schludnie. W jednym z rogów odkrył głęboką dziurę wypełnioną resztkami drewna i popiołem.

- Psiakrew... mogłyście się tu zatruć - syknął przez zęby.

- Sierzancie - Kerry uniosła do góry jedną z brwi - czy mógłby pan się w ten sposób nie wyrażać? Mała nie powinna tego słuchać.

- Oczywiście, ma pani rację, przepraszam.

Kerry siedziała po turecku na dywanie i kołysała dziewczynkę w ramionach. Quinn pochylił się nad swoim plecakiem i wydobył z niego

jedną z dwudziestu dziennych racji żywnościowych. Rozłożył ją na dywanie, wziął część śniadaniową i położył na podgrzewaczu. Gdy powietrze wypełniło się zapachem jajek i bekonu, Kerry poczuła, jak jej żołądek kurczy się z głodu. Nie mogła powstrzymać się, by nie zerknąć w kierunku, z którego dobiegał ten smakowity zapach. Zdawało jej się, że w lśniących oczach sierżanta potrafi wyczytać wszystko. Widziała, że choć za wszelką cenę próbuje ukrywać swoje reakcje, jest zszokowany tym, co zastał w Philipsburgu.

Nie minęło nawet pięć minut, gdy Quinn podał Kerry talerz z posiłkiem. Przez moment udało mu się uchwycić jej głodne spojrzenie.

- Od kiedy pani nie jadła? - zapytał.

- O, sama nie wiem, jestem tak zabiegana i zmęczona, że zapominam o jedzeniu - odparła z nieco sarkastycznym uśmiechem na ustach.

Z przejęciem obserwował, jak odsuwa od siebie talerz i podaje go dziewczynce. Pet, gdy tylko ujrzała jedzenie, rzuciła się na widelec i w przerażającym tempie zaczęła pochłaniać jajka.

- Jedz powoli - upomniała małą. - Nikt ci tego nie odbierze, a jeśli będziesz tak się spieszyć, rozboli cię brzusek. Spokojnie, kochanie, spokojnie.

Petula zwolniła nieco tempo, zresztą po chwili i tak się zapchała, bo z wrażenia zapomniała przełykać kęsy. Zjadła zaledwie połowę porcji i ziewnęła szeroko.

- Jestem śpiąca - powiedziała cicho, pocierając oczka piąstkami.

- To położymy cię do łóżeczka - szepnęła Kerry, odstawiając na bok talerz. Otuliła małą kocem i podała jej dużego, czerwonego dinozaura. - Śpij w takim razie, śpij.

Po chwili Kerry wróciła do swojej poprzedniej pozycji na dywanie. Nawet nie spojrzała w stronę talerza.

- Dlaczego pani tego nie dokończy? - zdziwił się Quinn. - Przecież widzę, że jest pani bardzo głodna.

- Jest tylu ludzi, którzy nie mają co jeść... Miałabym poczucie winy.

- To nie wchodzi w rachubę, proszę to zjeść. - Dał się ponieść emocjom i zabrzmiało to niemal jak rozkaz, ale nie miał innego wyjścia. Kerry wyglądała na wycieńczoną. Mundur wisiał na niej, a cera była blada i matowa. - Bardzo proszę - poprawił się po chwili -przecież pani musi być silna i zdrowa, potrzebujemy pani pomocy. Jeśli będzie pani odmawiać jedzenia, nic dobrego z tego nie wyniknie. A więc, do roboty... bardzo proszę.

Pochyliła się do przodu, sięgnęła po talerz i przez chwilę wpatrywała się w jego zawartość.

- Jest pan bardzo pragmatyczny - powiedziała nie bez uszczypliwości.

- Na wojnie nie można się bawić w sentymenty, trzeba być realistą. W końcu jest pani policjantką i musi to pani rozumieć.

Umilkł, gdy zaczęła jeść. Nie chciał zakłócać jej tego momentu, jednak spod oka bacznie ją obserwował. Z namaszczeniem odkroiła mały kawałek i powoli uniosła na widelcu do ust. Zamknęła oczy, a na jej twarzy pojawił się błogi uśmiech.

- Nigdy nie sądziłam, że jajka mogą być takie pyszne - powiedziała, przeżuwając dokładnie każdy kęs.

- Jak długo pani nie jadła?

- Naprawdę nie wiem, może dwadzieścia cztery godziny, może trzydzieści...

Quinn wyjął z plecaka manierkę i podał Kerry kubek wody.

- Proszę.

Musnął przy tym jej palce. Boże, jaki poczuł dreszcz! Czyżby był na najlepszej drodze, żeby oszaleć dla tej kobiety?

Wypiła duszkiem cały kubek, ale kiedy chciał jej dolać, odmówiła.

- Nie, nie mogę, naprawdę... - W tym momencie stanęli jej przed oczami ludzie z jej strefy, jej przyjaciele, którzy za łyk wody gotowi byli oddać wszystko. Przypomniała sobie krzyk dzieci umierających z pragnienia, rodziców oszalałych z rozpacz. - Nie mogę - szepnęła, a jej dłonie z całych sił zacisnęły się na kubku, aż pobieleły jej opuszki palców. - Wybacz mi, ale nie potrafię się przełamać.

- Kerry, posłuchaj mnie, kiedy byłem na wojnie w Zatoce, było jeszcze straszniej, nie sposób to opisać słowami. Widziałem chmary ludzi, którzy jak muchy padali z pragnienia i nic nie mogłem na to poradzić. W takiej sytuacji nie masz wyjścia, musisz myśleć o sobie, bo to ty niesiesz pomoc, bez ciebie ci ludzie zginą. Nie uratujesz ich jednym kubkiem wody czy kromką chleba, natomiast możesz ich uratować, gdy sama będziesz silna. Zresztą, jak chcesz podzielić te kęsy, których sobie odmówisz? Kto będzie tym szczęśliwcem, komu je dasz, a komu odmówisz? To jeszcze trudniejszy wybór! A gdy będziesz silna, możesz wiele zdziałać, jeszcze więcej, niż udało ci się do tej pory. Jedz, Kerry, i pij, musisz się wzmocnić.

Spojrzała w błękit jego oczu i zrozumiała, że ma rację. Powoli podała mu kubek, a on nalał do pełna. Znowu wychyliła go duszkiem. Po

raz pierwszy od dwóch tygodni mogła wypić tyle wody, ile chciała. Cóż to był za luksus! Na koniec otarła usta dłonią i spojrzała na niego smętnie.

- Nic na to nie poradzę, ale wciąż czuję się winna.

- To nie twoja wina, że życie jest nie fair. I nie ma co się łudzić, że to kiedykolwiek się zmieni.

Podawała mu kubek, a on wymownie spojrzał na niedokończony posiłek.

- Naprawdę już nie mogę. Tak długo nie jadłam, że jeśli zjem to wszystko, z pewnością się pochoruję. Bezpieczniejszy byłby kawałek chleba albo suchary.

Quinn wydobyl z plecaka zawiniątko z napisem „Lunch”. Po chwili zdecydowanie wyciągnął do niej dłoń pełną sucharów.

- Zaczynij od tego, a za jakiś czas będziesz mogła jeść normalne posiłki. - Znowu przyglądał się, jak odłamuje małe kawałeczki sucharka i z namaszczeniem wsuwa je do ust.

Wstrząsnął nim lodowaty dreszcz. Aż niemożliwe, że coś takiego ma miejsce dziś, w Ameryce, największym i najbogatszym mocarstwie świata. Jak niewiele trzeba, by wydarzyła się katastrofa, która przerasta swymi rozmiarami ludzkie możliwości. Przerażająca wizja, w której człowiek jest bezsilny i nic nie znaczy, a jego życie nie jest więcej warte niż życie muchy czy mrówki. Kiedy tu leciał, widział z góry cały region jak na dłoni.

A był to straszny widok: pochłonięte przez ziemię całe osiedla mieszkaniowe, pozapadane drogi i mosty, rozpadliny, z których wystawały fragmenty drzew i szczątki domów. Nie było żadnej innej drogi niż powietrzna, by dostarczyć wodę pitną i żywność. To była jedyna nadzieja

dla tych ludzi, dlatego jego frustracja zmieniała się w potworną wściekłość. Wściekłość na opieszałość i fatalną organizację akcji ratunkowej.

- Wiesz, to, do czego tu doszło, zdarza się, ale gdzieś tam na świecie. Patrzysz na to w telewizji i przeszywa cię zimny dreszcz, wiesz jednak, że to ciebie nie dotyczy i żyjesz w przekonaniu, że nigdy ci się nie przytrafi. Aż tu pewnego dnia - przeczesał nerwowo palcami włosy - okazuje się, że nie jesteś już pod ochroną, że również dla ciebie los okazał się brutalny. Wciąż nie mogę uwierzyć, że to się faktycznie stało, wciąż mam nadzieję, że to tylko zły sen, a ja się zaraz obudzę.

- Niestety to nie sen, to najprawdziwszy i największy koszmar, jaki kiedykolwiek przeżyłam - powiedziała cicho Kerry, dotykając jego dłoni. Dopiero gdy ujrzała w jego oczach pożądanie, wycofała rękę. Tego nie chciała

- Proszę mi wybaczyć... - Zaczerwieniła się. Zmieszany pokręcił głową.

- Nic się nie stało - powiedział w roztargnieniu. Jej dotyk był magnetyczny, przeszywający...

- Proszę, mów mi Quinn, kiedy jesteśmy sami, ale na zewnątrz lepiej, jeśli będziemy się do siebie zwracać oficjalnie.

- Oczywiście, jak sobie życzysz. Ale możesz mi mówić po imieniu niezależnie od tego, gdzie jesteśmy. Według mnie takie formalności nie zawsze mają znaczenie, a już na pewno nie w takiej sytuacji jak ta. Wolałabym myśleć o was jak o przyjaciółach, którzy przybyli, żeby nam pomóc.



Przyjaciół? Tak, tego pragnął w tej chwili najbardziej, stać się jej przyjacielem, bardzo bliskim przyjacielem

- A więc jesteśmy jedną wielką rodziną! - zawołał spontanicznie.

Kerry roześmiała się, a oczy Quinna zabłysły radością.

- Coś mi się zdaje, że pod tą twardą skorupą żołnierza piechoty morskiej kryje się całkiem miękki i uczuciowy facet - zaśmiała się, a potem podeszła do Pet i pogładziła ją po głowie. - Pewnie nie do końca zdajesz sobie sprawę, ile znaczy dla mnie twoja pomoc. - W jej oczach pojawiły się łzy, jednak szybko się opanowała. To nie był właściwy moment i miejsce na okazywanie słabości. - Chodźmy, poproszę jakąś kobietę, żeby została przy małej, a my przejdziemy się po okolicy. Mam ci sporo do powiedzenia i sporo do pokazania.

## ROZDZIAŁ TRZECI

*14 stycznia, godzina 9.50*

Gdy wyszli na zewnątrz, słońce stało już wysoko. Mimo że na niebie nie było nawet jednej chmurki, poranek był bardzo chłodny. Kerry szczerze otuliła się szalem i zapięła kurtkę pod nos. Przedtem poprawiła kamizelkę kuloodporną i sprawdziła magazynek pistoletu. Bez tego lepiej było nie ruszać się z domu, wszyscy wiedzieli, na co stać Diabolo.

Wprawdzie w towarzystwie Quinna czuła się dużo pewniej, ale nie mogła głupio ryzykować, bo co stałoby się z Pet, gdyby jej się coś przytrafiło?

Philipsburg dopiero budził się ze snu. Ludzie powoli wychodzili ze swoich schronień, dziwnie poubierani w kilka swetrów, kurtki i płaszcze lub opatuleni kocami czy kołdrami, czyli wszystkim, co wpadło im w rękę.

Kerry szła przed siebie szybkim krokiem. Miała skupioną twarz i zaciśnięte usta. Ramiona skrzyżowała na piersiach, a dłonie wsunęła pod pachy, żeby trochę je rozgrzać. Nic dziwnego, styczniowe poranki w Kalifornii były naprawdę zimne. Nawet Quinn doszedł do wniosku, że powinien poprosić o dostarczenie jemu i jego ludziom cieplejszych ubrań.

Gdy zbliżali się do centrum dystrybucji wody, Quinn ujrzał jednego ze swoich żołnierzy. Wolnym krokiem poruszał się wzdłuż kolejki, która ustawiła się z samego rana. Wokół panował całkowity spokój.

- Widzisz, jaka cisza? - zaśmiała się Kerry. - Już sama wasza obecność sprawia, że jestem spokojniejsza.

- Ale nie licz na to, że zdziałyśmy cuda. Za wielka skala zniszczeń, za mało ludzi - odparł z naciskiem.

- Cholera, to nie tak powinno być zorganizowane.

- Och, wiem. - Westchnęła ciężko, a uśmiech zniknął jej z ust. -

Musisz mnie jednak zrozumieć. Przez dwa tygodnie wszystko spoczywało na moich barkach: zorganizowanie ludzi do odgruzowania, do pomocy medycznej, do wszystkiego... No i co z tego, że odbyłam przeszkolenie, jak zachować się w sytuacjach ekstremalnych, że brałam udział w ćwiczeniach, w symulowanych pożarach, powodziach i trzęsieniach ziemi? Wprawdzie dało mi to wiele, ale rzeczywistość jest stokroć bardziej przerażająca, a ja też jestem tylko człowiekiem.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że sama radziłaś sobie z całą strefą?

- A kto miał mi pomóc? - Westchnęła raz jeszcze.

- Zostałam z tym wszystkim całkiem sama. Kiedy nadeszło trzęsienie ziemi, byłam akurat na dworze. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jaki to potworny huk, jakby otworzyły się wrota do piekieł. Nigdy tego nie zapomnę.

Zrobiło się kompletnie ciemno i nie mogłam się zorientować, co się dzieje. Dopiero gdy nadeszła druga fala, zrozumiałam, o co chodzi... - Jej twarz stała się biała jak kreda. - Natura oszalała, człowiek z całą swoją dumą, doświadczeniem, poczuciem władzy i siły przemienia się nagle w nic nieznaczący pyłek, bezradną marionetkę. .. - Zachwiała się, przymknęła oczy.

- Już dobrze. - Quinn pogładził ją po ramieniu. Wiedział, że serdeczny gest może mieć zbawienne działanie. Widział też, że Kerry cały czas próbuje zapanować nad łzami. Było dla niego oczywiste, że wciąż jest w szoku, choć nie zdaje sobie z tego sprawy. Dzięki żelaznej dyscyplinie wewnętrznej i potężnej sile woli nie poddała się, więcej,

podjęła się nadludzkiego zadania, ale jak długo mogła ciągnąć to wszystko?

Uznał, że powinna to wszystko z siebie wyrzucić, opowiedzieć ze szczegółami, co widziała i co ją przeraziło. Podzielić się swym bólem i strachem, zrzucić część potwornego brzemienia na inne barki.

- Opowiedz mi - odezwał się cicho - jak to wyglądało, co się wydarzyło. Wszystko, co pamiętasz, ze szczegółami.

- Co pamiętam? - Na jej twarzy pojawił się sarkastyczny uśmiech. - Tego nie da się zapomnieć, to będzie mnie prześladować do końca moich dni. Naprawdę nie wiem, czy jesteś gotów wysłuchać tej opowieści. - Jej głos drżał, niespokojnie poruszała rękami.

Tak bardzo pragnął dodać jej otuchy. Najchętniej otworzyłby ramiona i przycisnął ją do siebie tak mocno, by poczuła, że jest bezpieczna. Nie mógł jednak tego zrobić, była przywódcą i ludzie tak właśnie ją postrzegali. Musiała sama się pozbierać, mógł jej tylko trochę w tym pomóc.

- Jeśli wyrzucisz to z siebie...

- To nie jest dobry pomysł, Quinn. Nie chcę, by puściły mi nerwy, nie mogę się teraz rozkleić.

- Wiele razy widziałem rozpacz, przerażenie i ból w oczach ludzi. Wiem, co to trauma i wiem też, że gdy można z kimś porozmawiać o koszmarze, wszystko staje się trochę łatwiejsze. To tak, jakbyś komuś opowiedziała swój zły sen. Każdemu robi się potem odrobinę lepiej. Wiesz, sam tego doświadczyłem... Więc jeśli byś chciała z kimś pogadać, to wiedz, że jestem przy tobie.

Kerry uniosła głowę i spojrzała mu z wdzięcznością w oczy.

- Dzięki za wszystko, Quinn, dzięki. Odkąd tu jesteś, czuję się dużo bezpieczniejsza. Nawet nie wiesz, jaką poczułam ulgę, gdy zobaczyłam, jak wysiadacie ze śmigłowca. - Nerwowo zatarła dłonie i głośno przełknęła. Gdy przymknęła oczy, poczuła pod powiekami gorącą wilgoć. Nie potrafiła dłużej tego powstrzymać. Spływające łzy pozostawiły na jej policzkach dwie jasne smugi.

Kąpiel też by jej dobrze zrobiła, pomyślał. Znów poczułaby się jak cywilizowany człowiek. Pochlebiło mu, że jego obecność przyniosła jej ulgę, że sam fakt jego przybycia dodał jej otuchy.

Rękawem wytarła oczy, rozglądając się, czy przypadkiem nikt nie widział, że płakała. Nie zdarzyło się to jej od trzęsienia ziemi i lepiej, by nikt nie zobaczył jej w takim stanie. Ludzie oczekiwali od niej siły i energii, gotowych odpowiedzi na każde pytanie, sprawnej organizacji, w ogóle wszelkiej pomocy. Był to zbyt wielki ciężar jak na jedną osobę i za długo to wszystko trwało. Była u kresu fizycznej i psychicznej wytrzymałości.

- Kerry, dokonałaś tak wiele, zasłużyłaś na wszelkie możliwe medale i dozgonną wdzięczność tysięcy ludzi, ale nikt nie jest ze stali. Musisz pozwolić sobie na chwilę słabości, na ukojenie nerwów. Zaufaj mi.

- Ufam ci, Quinn, nawet nie wiesz, jak bardzo, ale naprawdę boję się, że się rozkleję, stracę samodyscyplinę. Poza tym tak trudno mi o tym mówić, dużo trudniej, niż sądziłam. - Starła się równomiernie oddychać, zaprowadzić ład w swoim rozdygotanym organizmie.

- Wyrzuć to z siebie, tak będzie lepiej, uwierz mi. Będzie ci łatwiej z tym żyć. Nie możesz wszystkiego dusić w sobie.

Gdy nieco się uspokoiła, spojrzała na niego jakoś inaczej. To nie był już obcy facet w mundurze piechoty morskiej, lecz ktoś, z kim w przeciągu tak krótkiego czasu udało jej się zaprzyjaźnić. Jak bardzo tego potrzebowała... Zrobiło jej się ciepło wokół serca.

- I co było potem? Opowiedz... - nalegał Quinn.

- W jednej chwili na moich oczach runął budynek policji. Nad moją głową przeleciał wrak samochodu, wokół padały kawały murów, meble, sprzęt... ludzkie ciała... Stałam, a to wszystko waliło się obok, lecz cudownym zrzędzeniem losu nie zostałam nawet draśnięta. Nie wiem, ile to trwało, lecz w mojej pamięci wyryły się setki obrazów, jakbym kadr po kadrze przesuwiała taśmę filmową. A potem zapanowała ciemność, zgasły wszystkie światła. Czy wiesz, jak przerażająca może być ciemność? I ten ryk, te jęki wydobywające się z ziemi... Coś potwornego... - Wstrząsnął ją nagły dreszcz. - I nagle uderzył we mnie potężny podmuch wiatru, rzuciło mnie na ogrodzenie. W powietrzu unosił się nieprawdopodobny kurz i pył... Ile czasu mogło upłynąć od wstrząsu do zgaśnięcia światła? Sekundy, a ja ujrzałam tak wiele... - Kerry wstrzymała na chwilę oddech. - A potem wszechogarniająca ciemność i drapieżny, duszący pył. Zaczęłam strasznie kaszleć, krztusić się, myślałam, że się uduszę. Wszędzie rozchodził się swąd spalenizny i zapach ziemi. I nagle nastąpił drugi wstrząs, jeszcze potężniejszy. Znow świat zawirował, znow coś latało wokół mnie, i znow ocalałam... Jak się później okazało, między pierwszym a drugim wstrząsem upłynęły zaledwie dwie minuty, lecz dla mnie to była wieczność. - Zatrzepotała rzesami i dwie błyszczące krople spłynęły po jej policzkach. Ile by dała teraz za to, by móc zatopić się w

ramionach Quinna, poczuć jego męskie, muskularne ciało. - Cała wieczność - powtórzyła i pokiwała ciężko głową.

- A co było potem? - Pragnął, by jego głos zabrzmiał jak najdelikatniej, nie jak rozkaz czy ponaglenie. Tyle przerażenia już dawno nie widział w niczyich oczach. Tak pragnął osuszyć łzy spływające po policzkach Kerry, ale wiedział, że łzy bywają najlepszym lekarstwem. Nie chciał jej przerywać, skoro już zaczęła mówić.

- Wiesz, ilu ludzi zginęło w gruzach? Quinn, to była masakra, prawdziwa masakra! I te krzyki, jęki... Jak mam to kiedykolwiek zapomnieć? To byli moi przyjaciele, z którymi pracowałam od lat. - Na twarzy Kerry malowała się rozpacz. - Ci ludzie, odkąd nie żyje Lee, pomagali mi przebrnąć przez życie, wspierali mnie i podtrzymywali na duchu. - Rękawem otarła łzy, które nieprzerwanym strumieniem spływały po jej policzkach. Czowała się, jakby wybuchł w niej wulkan żalu i smutku.

- Kim był Lee? - zapytał po chwili Quinn.

- To mój mąż, byliśmy małżeństwem trzy lata. - Wzięła krótki, urywany oddech. - Był zastępcą szeryfa. Zginął podczas akcji. Dostał prosto w klatkę piersiową... Nie cierpiał kamizelki kuloodpornej, nigdy nie chciał jej wkładać. Gdyby nie to, żyłby...

- Przykro mi, Kerry. - Ręka Quinna zacisnęła się na jej ramieniu. Musiała bardzo kochać swego męża, bo w jej szarych, podpuchniętych oczach pojawiły się znowu łzy. Jakże byłby szczęśliwy, gdyby i jego tak kochała jakaś kobieta... - Straciłaś wszystkich swoich przyjaciół? - Sięgnął po manierkę z wodą, zamoczył chustkę i podał ją Kerry, by przetarła sobie twarz.

Ale ona tego nie zauważyła.



- Tak - szepnęła z rozpaczą w głosie. - Właśnie mieliśmy odprawę, a ja wyszłam na chwilę, by przynieść coś z samochodu. Kiedy minął pierwszy szok, zerwałam się na równe nogi, ale wokół było potwornie ciemno. Dopiero po jakimś czasie zorientowałam się, że mam w kieszeni latarkę. Po chwili wróciłam na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał budynek policji. Nie wiem, ile razy się po drodze potykałam i przewracałam, raniąc sobie dłonie i kolana. - Wyciągnęła przed siebie ręce i bezradnie się im przyglądała. Wszędzie miała zadrapania i stupy, paznokcie były całkiem połamane.

- Udało ci się tam jakoś dotrzeć? Mimo takich potwornych zniszczeń?

Kiwnęła głową.

- Ale wokół unosił się zapach gazu, bo zniszczona została instalacja. Aż trudno w to uwierzyć, w jednej chwili trzy piętra zapadły się, tworząc kilkumetrowe gruzowisko. Stałam tam jak w transie, a wokół panowała kompletna cisza, nic, żadnych jęków, żadnych głosów wzywających pomocy. Ponad sto osób zginęło pod gruzami tego budynku. Myślałam, że oszaleję... - Ukryła twarz w dłoniach i po chwili wstrząsnął nią rozpaczliwy szloch.

- Do diabła - mruknął Quinn i mocno ją przytulił. - To zbyt wiele, nikt nie powinien tego przeżywać.

- Stało się, Quinn, po prostu się stało...

- Wytrę ci twarz, dobrze? - Wciąż trzymał w ręku zmoczoną chustkę.

Wtulila się w jego szerokie ramiona, a gdy podniosła głowę, uśmiechał się do niej, jakby chciał powiedzieć: „Nie martw się, maleńka, pomogę ci”. Czuła się jak małe, zagubione dziecko, które wreszcie

odnalazło kogoś bliskiego. Najchętniej wtuliłaby się jeszcze mocniej w Quinna i zasnęła, na długo.

Delikatnie przetarł jej chustką policzki i oczy. Był taki opiekuńczy, taki czuły... Po raz pierwszy od lat poczuła w sobie to specyficzne ciepło, poczuła, że jej serce szybciej bije i że dla tego mężczyzny potrafiłaby wiele poświęcić. Jakże cudowne doznanie po dwóch tygodniach piekła.

- Jesteś jak kwoka, która chroni swoje pisklę - zażartowała Kerry.

- Skąd wiesz, że tak nazywają mnie moi chłopcy?

- A więc naprawdę jesteś kwoką! Sierżant Kwoka... - Roześmiała się.

- Jak widać, nie tylko ja cię zdemaskowałam.

- Czasami muszę być kwoką. Również na tym polega moja praca.

- Dziękuję ci, Quinn - powiedziała, wycierając dłonie chustką. -

Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. I wielkie dzięki za tę moką szmatkę. Tutaj to prawdziwy luksus. Już nie pamiętam, kiedy się kąpałam, bo musimy oszczędzać każdą kroplę wody.

- Masz strasznie poharatane ręce...

- Przerzucałam gruz, miałam nadzieję, że kogoś uda mi się odkopać.

- I co?

- I nic. Wiele godzin szarpałam się ze zwałami cegieł, ale nikogo nie udało mi się odgrzebać. Nawet nie wiesz, jakie to było okropne.

Quinn spojrzał w kierunku centrum handlowego. W jego zakamarkach widoczne były małe ogniska, a przy nich krzątający się ludzie. Jedni się przy nich grzali, a inni próbowali coś ugotować.

- Zapach gazu był tak silny, że w końcu zdecydowałam się stamtąd odejść - kontynuowała Kerry. - Obawiałam się eksplozji.

- Podobno było tu sporo takich przypadków.

- Tak, ale odcięliśmy dopływ gazu, więc nic już nie może się stać.

- A jak sobie dalej poradziłaś?

- Wyciągnęłam z samochodu, który jakimś cudem ocalał, apteczkę, pistolet i radiotelefon, niestety o krótkim zasięgu, i poszłam w kierunku mojego domu. Zostałam tylko gruzy... W pobliżu był sklep elektryczny. Znalazłam tam generatory, radia i inny sprzęt. Zaczęłam kombinować, wreszcie udało mi się skonstruować aparat nadawczo-odbiorczy. Szukałam po omacku jakiegokolwiek kontaktu, wreszcie natrafiłam na wojskową częstotliwość i w ten sposób dotarłam do departamentu logistyki w Camp Reed, do Morgana Trayherna. Wskazałam mu lądowisko dla helikopterów na parkingu przy centrum handlowym, dzięki czemu zaczęły trafiać do nas zapasy wody, żywność i leki. Udało mi się też zmobilizować ludzi do pomocy. Mieszkają tu ludzie z całego świata, Hiszpanie, Koreańczycy, Afroamerykanie, a jednak zaczęło to jakoś działać. Ludzie zrozumieli, że współpraca to jedyna szansa na przeżycie. Nigdy nie było kłótni o wodę czy jedzenie. Dopiero gdy tydzień temu pojawił się gang Diabolo, zaczęły się prawdziwe problemy. Nikt nie ma broni, jestem tu jedyną osobą, która ma splotę. Ale przecież nie mogę być jednocześnie w kilku miejscach, a poza tym wszędzie muszę dotrzeć piechotą.

- Naturalnie, rozumiem. - Jego podziw dla tej kobiety rósł z każdą minutą. Była wyjątkowa, niezwykła, a odwagi i zaradności mogłoby pozazdrościć jej wielu żołnierzy z sił specjalnych. Do tego potrafiła zapewnić sobie posłuch. Urodziła się na przywódcę, choć sama nie postrzegała siebie w tych kategoriach. Robiła, co uważała za słuszne, i tyle... - Pomożemy ci, Kerry. A teraz chodźmy do centrum dystrybucji,

zobaczmy, co da się zrobić dla tych ludzi. Najpilniejsze zadanie to zapewnienie bezpieczeństwa.

- Diabolo.

- Diabolo - powtórzył. - Jak najprędzej musimy zniszczyć tę zarazę.

Twarz Kerry rozjaśniła się, widać było, jak wstępuje w nią nadzieja.

Quinn wyczytał to z jej oczu.

A poza tym wydarzyło się pomiędzy nimi coś, co daleko odbiegało od misji, którą mieli do wykonania. Jakaś niewidzialna nić porozumienia i wyjątkowa, zaskakująca więź z każdą chwilą przybliżały ich do siebie.

RS

## ROZDZIAŁ CZWARTY

*14 stycznia, godzina 10.15*

Quinnowi wystarczyło tylko jedno spojrzenie Perkinsa. I wiedział już wszystko. Kiedy nadeszli, stał otoczony tłumem, z którego padała niezliczona liczba pytań. W oczach ludzi płonęła nadzieja na rychłą pomoc. Niektórzy z trudem trzymali się na nogach. Wszyscy byli brudni i obdarci, aż nie sposób było uwierzyć, że coś takiego jest możliwe w tak bogatym kraju.

Quinn przez dłuższą chwilę patrzył na tę scenkę. Znow miał wrażenie, jakby znalazł się w teatrze absurdu, który z rzeczywistością nie ma nic wspólnego. Przez wszystkie lata służby nie zdarzyło mu się widzieć Amerykanów w tak opłakanym stanie. Tyle było w ich spojrzeniach desperacji, tyle rozpacz, że Quinn nie wiedział, czy sobie z tym poradzi. Kerry jeszcze bardziej urosła w jego oczach. Już po pierwszej krótkiej konfrontacji zaczynał popadać w zwątpienie, a ona tkwiła w tym wszystkim od wielu dni i radziła sobie. Jaka musiała być mocna i szlachetna. .. i jaka zmęczona.

- Moje dziecko ma wysoką gorączkę - mówiła drżącym głosem pewna kobieta - w żaden sposób nie udaje mi się jej zbić. Mam w domu lekarstwa, ale boję się wejść do środka, bo budynek grozi zawaleniem. Czy ktoś mi pomoże?

- Mam opuchnięte i poranione nogi - narzekał ledwo słyszalnym głosem starszy mężczyzna. - Kiedy nadejdzie wreszcie pomoc? Powymieramy tu jak muchy.

- Potrzebuję wody dla syna. Ma połamane obie nogi! Wody mi dajcie, wody! Bo on umrze...

Quinn uniósł do góry rękę i poprosił o ciszę. Tłum umilkł.

- Nazywam się Quinn Grayson, jestem sierżantem piechoty morskiej i przybyłem tu dziś rano wraz z moją drużyną, żeby wam pomóc. Pierwszą sprawą jest utrzymanie porządku w strefie piątej, gdyż doszły nas wieści, że grasuje tu banda Diabolo.

- Potrzebujemy lekarstw, żywności i wody! -krzyknęła jakaś kobieta.

- Dlaczego to tak długo trwa? Moja córka ma cukrzycę, musi dostać insulinę, inaczej umrze.

- Słuchajcie, przyjaciele - odezwała się Kerry -znam wasze problemy. Dziś sierżant Grayson oddeleguje jednego ze swoich ludzi, by spisał, co kto potrzebuje. Przekażemy to do bazy i mam nadzieję, że wkrótce otrzymacie niezbędną wam pomoc. Nie zapominajcie, że potrzebujących jest wielu, a nasze możliwości na razie są niewielkie. Zadaniem drużyny sierżanta jest przede wszystkim neutralizacja gangu Diabolo, to nasz największy problem.

Quinn rzucił Kerry krótkie spojrzenie. Nie rozmawiali o rejestrze potrzeb, ale uznał, że to dobry pomysł. Ludzie rozumieją, iż ktoś o nich myśli i próbuje zadbać.

- Dzięki Bogu! - ktoś westchnął z ulgą. Zewsząd dało się słyszeć okrzyki radości.

- Te bandziory zamordowały moją żonę - powiedział cicho jeden z mężczyzn. - Za głupią paczkę biskoptów...

W jego głosie słychać było rozpacz i rezygnację. Był u kresu wytrzymałości. Quinn patrzył bezradny w jego kierunku, gdy ponownie odezwała się Kerry:

- Kochani, ustawcie się w kolejce po wodę. Muszę zabrać sierżanta Graysona na obchód po naszej strefie

i ustalić plan działania. Starajmy się więc zachować spokój.

- Dajcie mi insulinę dla dziecka, bo wpadnie w śpiączkę! - krzyknęła młoda kobieta, wybuchając płaczem. - Niech mi ktoś pomoże!

- Marta, proszę cię, ty też musisz zachować spokój.

Mrucząc pod nosem, ludzie zaczęli formować kolejkę. Każdy z nich trzymał w ręku litrową butelkę na wodę, która musiała wystarczyć im i ich rodzinom na najbliższe dwadzieścia cztery godziny.

Quinn spojrział z podziwem na Kerry. Miała w oczach tę samą rozpacz i ból co wszyscy pozostali.

- Mimo że znałem twoje meldunki, nie przypuszczałem, jak straszna panuje tu sytuacja - powiedział cicho Quinn, gdy oddalili się od centrum dystrybucji.

- To dopiero wierzchołek góry lodowej. - Jej głos załamał się.

- Jak ty sobie z tym wszystkim dałaś radę?

- Problemy to moja specjalność, jestem w końcu policjantką. Poza tym to mój obowiązek.

- Dobrze wiesz, że robisz dużo więcej, niż wynika z twojej funkcji. Wpadłaś na świetny pomysł, by spisać potrzeby. Na przykład ta kobieta naprawdę pilnie potrzebuje insuliny dla swojej córki. Dzięki.

Na moment na twarzy Kerry zagościł uśmiech.



- Już od dawna chodziło mi to po głowie, ale nie miałam na to czasu. Teraz, kiedy tu jesteście, wszystko wydaje się łatwiejsze.

- Zrobimy, co w naszej mocy, ale pamiętaj, że szkolono nas do walki, a nie do usuwania skutków katastrof. Masz w tej dziedzinie dużo większą wiedzę od nas, mówiłaś, że brałaś udział w ćwiczeniach ratowniczych, więc...

- Te ćwiczenia to jakiś żart. Od szóstej do czternastej udajemy bohaterów, a potem schodzimy się na lunch... Zresztą, czy da się przygotować do czegoś takiego?

Wpatrywał się w nią tymi swoimi błękitnymi oczami i wiedziała, że pod twardą skorupą znajduje się wrażliwy i szlachetny mężczyzna. Lubiła, kiedy tak na nią patrzył. Przeszywał ją wtedy przyjemny dreszcz.

Ruszyli przed siebie. Na terenie parkingu, który nie był do końca zniszczony, ludzie urządzili obozowisko. Mieszkali w pośpiesznie skleconych szałasach z kartonów, desek i cegieł.

- Poczekaj - powiedział Quinn - chcę się temu dokładniej przyjrzeć. Potem wrócimy do twojej kwatery. Musimy skontaktować się z departamentem logistyki i poprosić o jak najszybszy transport koniecznych rzeczy. - Rozejrzał się dokoła i znowu dopadło go z wątpienie. Jak mieli pomóc tym tłumom? Miał nadzieję, że Morgan zaakceptuje zmianę planów. Mówił zresztą, że to Quinn ma na miejscu ustalić priorytety.

Uznał więc, że najpierw trzeba zaspokoić najpilniejsze potrzeby ludzi, a dopiero potem rozpocząć polowanie na Diabolo.

*14 stycznia, godzina 15.15*

Quinn połączył się z bazą. Wieści były nadspodziewanie dobre: do Camp Reed dotarło wreszcie wsparcie. Dysponowali teraz dodatkowymi dziesięcioma helikopterami, zwiększyły się więc możliwości transportowe.

Kerry postanowiła zajrzeć na chwilę do domu, bo niepokoiła się o małą. Wyglądała zresztą na bardzo zmęczoną i Quinn dobrze wiedział, że przydałaby się jej choćby krótka drzemka. Sylwia, dziewczyna, która zajęła się podczas ich nieobecności Pet, zaczęła zbierać się do wyjścia.

Zostań jeszcze chwilę - powiedział do niej Quinn. - Zjesz coś z nami.

Olbrzymie oczy dziewczyny stały się jeszcze większe. Musiała być bardzo wygłodzona, bo kiedy podał jej część zestawu obiadowego, zapomniała o wszelkich manierach i rzuciła się na jedzenie. Mimo próśb i ostrzeżeń Kerry, nie potrafiła nad sobą zapanować, i po chwili strasznie się pochorowała.

Trudno było patrzeć na coś takiego, a Quinn wiedział, że wkrótce może być jeszcze gorzej.

Przez dom Kerry przewijały się masy ludzi. Wszyscy, którzy czegoś potrzebowali, przychodzili właśnie tutaj. Na jego oczach oddała swoje oba koce, na których spała do tej pory, bo pojawili się ludzie, którzy dosłownie nie mieli nic. Spali pod gołym niebem, na trawniku przed ruinami swego domu.

Kiedy Sylwia wreszcie poczuła się nieco lepiej, wzięła małą na spacer, więc Quinn miał szansę porozmawiać z Kerry. Usiedli przed domem, rozkoszując się popołudniowym słońcem. Kerry zaniknęła oczy, a lekki zefirek rozwiewał jej zmierzwione włosy. Przez moment miała błogi wyraz twarzy i Quinn nie mógł oderwać od niej wzroku.

Jednak po chwili wyciągnęła plik kartek i zaczęła je przeglądać. Nagle odwróciła się do niego i przyglądała się, jak wyciąga maszynkę do podgrzewania posiłków.

- Co robisz? - zapytała.

Wydobył z plecaka dwa metalowe kubki.

- Kawę rozpuszczalną, na którą w pełni zasłużyłaś. Masz ochotę? - Nastawił wodę, a gdy zawrzała, otworzył dwie małe torebeczki i zalał ich zawartość wrzątkiem.

- Kawę? - powtórzyła z niedowierzaniem, kiedy wreszcie dotarły do niej słowa Quinna.

- Wprawdzie nie taką prawdziwą, ale zawsze to kawa.

Jej wzrok był tak miękki i powabny... Gdy byli sami, Kerry zmieniała się nie do poznania. Nie była już kapitanem policji, lecz ciepłą, delikatną kobietą. Bardzo mu się to podobało, o wiele bardziej, niż powinno. Cały czas szukał pretekstu, by się do niej zbliżyć, dotknąć dłoni, musnąć włosy. I za każdym razem, był o tym absolutnie przekonany, na ułamek sekundy zmieniał się wyraz jej pięknych oczu. W takich chwilach serce omal nie wyskoczyło mu z piersi. Nieprawdopodobnie na niego działała. Umierał wprost z tęsknoty, by poznać ją bliżej, by wziąć ją w ramiona, ale nie po to, by ją pocieszyć, lecz by ją przycisnąć do siebie jak mężczyzna i gorąco pocałować.

A tymczasem całe dni upływać im miały na pomocy innym, otaczały ich bowiem niekończące się ludzkie tragedie. Dlatego wszystko inne wydawało się nie na miejscu.

- Boże, kawa... - rozmarzyła się Kerry. - Wiesz, co mi się śniło ostatniej nocy? Że byłam w centrum, w „Cofi Heven”. Często wpadałam tam na kawę.

Odchrząknął i podał jej parujący kubek.

- Och, rozumiem to. Nigdzie nie ruszam się bez mojej kawy.

Kerry uśmiechnęła się pod nosem. Przez chwilę delektowała się samym tylko zapachem, potem odstawiła na chwilę kubek i zebrała kartki, bojąc się, że porwie je wiatr.

- Skąd u ciebie ten miękki akcent? - zapytała, nagle zmieniając temat. - Pochodzisz z Południa?

Upił łyk kawy. Jego twarz pokrywał krótki, kilkudniowy zarost. Wydawał się przez to bardziej niebezpieczny, tajemniczy i pełen uroku.

- Urodziłem się w Kentucky, w górach.

- O Boże, nie wiedziałam, że kawa może mieć taki cudowny smak. Pyszna... - Jej usta rozplynęły się w błogim uśmiechu.

Była wspaniała, piękna i dobra... Pomagała wszystkim wokół, nie myśląc o sobie. Zasługiwała na o wiele więcej, aniżeli rurę w metalowym kubku.

Kerry wyprostowała się i otworzyła oczy.

- Jesteś więc góralem - powiedziała z nieukrywaną radością.

Kiwnął głową. Dzieciństwo spędziłem, biegając po łąkach na bosaka. Na początku nawet nie chodziłem do szkoły, bo uczyła mnie mama. Uprawiała ogromny, wspaniały ogród, który dostarczał przez cały rok warzyw i owoców. Ojciec był człowiekiem lasu. Uczył mnie rozpoznawać i tropić ślady, polować na dziką zwierzynę...

- Miałaś cudowne dzieciństwo - przerwała mu z uśmiechem Kerry. - Ja urodziłam się i wychowałam tu, w Kalifornii, na przedmieściach Los Angeles. Jestem typowym miejskim szczurem. Ale zastanawia mnie, dlaczego po tak pięknym dzieciństwie zaciągnęłaś się do wojska?

- Dziadek służył w wojsku, ojciec też. Taka rodzinna tradycja, chyba mamy to w genach.

- Zamierzasz być w armii do emerytury?

- To jedyne, na czym się naprawdę znam i nie mam zamiaru zgrywać się na jakiegoś intelektualistę. Nie mam studiów, a to, co robię, naprawdę lubię.

- Po studiach ludzie wcale nie robią się bardziej inteligentni - zaoponowała. - A ty doskonale wywiązujesz się ze swoich obowiązków. Morgan mówił o tobie w najlepszych słowach.

- Tworzymy wspaniały zespół, to prawda. - Rozejrzał się dokoła. Ludzie szykowali się na nadejście zmierzchu. Zbliżała się siedemnasta trzdzieści.

- Bardzo czekałam na wasz przyjazd. Dopiero dziś zdałam sobie sprawę, jak bardzo jestem tym wszystkim zmęczona. Tak, ciężko jest pracować z burczącym z głodu brzuchem. Tyle czasu musiałam walczyć z własnymi słabościami...

- Wiem i rozumiem. A mimo to masz tyle cierpliwości do ludzi. Podziwiam cię.

- Na tym przede wszystkim polega moja praca.

- Och, po prostu taka jesteś. Kerry, jesteś niezwykle dobrym człowiekiem.

Roześmiała się zawstydzona.

- Dzięki, te słowa znaczą dla mnie więcej, niż sądzisz. Ech - machnęła ręką - lepiej opowiedz mi o sobie. Mieszkasz na stałe w Camp Reed? Jesteś żonaty, masz dzieci? Z pewnością jesteś dobrym ojcem.

Tyle osobistych pytań, nie był do tego przyzwyczajony. Odchrząknął zażenowany.

- Nie, nie jestem żonaty, nie mam dzieci - odparł z lekkim zakłopotaniem. - Żadnych zobowiązań.

Więc nie było w jego życiu kobiety? Nie mogła jakoś w to uwierzyć.

- Przepraszam, nie chciałam być wścibska... Ale jesteś taki zrównoważony i spokojny, jak ktoś, kto ma oparcie w kochającej rodzinie.

- Kiedyś byłem zaręczony... Ale Frannie nie mogła pogodzić się z tym, że jestem podoficerem. Zbyt późno się zorientowałem, że korzystając z moich układow, zaczęła szukać kogoś, kto ulokowany jest wyżej. Cóż, w jakimś momencie uznała, że jestem dla niej za kiepski. Gdybym był oficerem, to co innego, ale sierżant...

Kerry cicho westchnęła i podała Quinnowi pusty kubek. Ich dłonie spotkały się na chwilę i przeszył ją miły dreszcz. Lubiła ciepło jego rąk, dawało jej poczucie bezpieczeństwa.

- To przykra historia, ale lepiej, że wszystko stało się jasne, zanim się pobraliście.

- Tak, dużo lepiej. Myślę, że nigdy nie była ze mną szczerą, i to boli najbardziej. Jeśli się kiedykolwiek ożenię, a nie sądzę, żeby miało to prędko nastąpić, to chcę, by tym razem wszystko było prawdziwe, bez żadnych gier i oszustw. Moi rodzice są już trzydzieści lat po ślubie, a wciąż szanują się i kochają. Wzrastałem w tej atmosferze i wydaje mi się, że wiem, czego trzeba, by utrzymać małżeństwo. To wcale niełatwe,

wymaga wiele zachodu i wyrozumiałości, ale w ostatecznym rozrachunku bardzo się opłaca.

Kerry oparła łokcie na skrzyżowanych po turecku nogach i uśmiechnęła się.

- Tak było pomiędzy mną i Lee, moim mężem. Ale masz rację, dziś ludzie często podchodzą do tych spraw bardzo lekko. Szybko i bez zastanowienia podejmują ważne decyzje, a potem wszystko się wali. Ale to dziś nikogo specjalnie nie załamuje. Rozwód, i sprawa załatwiona. Było, minęło.

- Od tego jestem daleki. - Spojrzał na zegarek. Rozmowa z Kerry była tak absorbująca, że nawet nie zauważył, jak zrobiło się późno. Zgodnie z zapewnieniami Morgana, przed zmierzchem miał pojawić się helikopter transportowy. Miał dostarczyć mnóstwo rzeczy, w tym insulinę. Jeszcze nie poinformował o tym Kerry, bo Trayhern nie był pewien, czy akcję uda się przeprowadzić dzisiaj. Miał poruszyć niebo i ziemię, ale nigdy nic nie wiadomo. Quinn nie chciał rozbudzać nadziei bez pokrycia. - Jak poznałaś swojego męża? - zapytał po chwili.

- W szkole policyjnej. W sumie - uśmiechnęła się - Lee był podobny do ciebie.

- Naprawdę?

- Tak... Też wychował się w górach, w północnej Kalifornii. Jego ojciec prowadził schronisko turystyczne, a mama uczyła w szkole. Lee polował na czarne niedźwiedzie w wieku dziesięciu lat. Pobraliśmy się, gdy byłam bardzo młoda, miałam zaledwie dwadzieścia jeden lat. Ale ten wspólnie spędzony czas, te sześć lat, to najcudowniejszy okres mego



życia. Razem pracowaliśmy dla szeryfa, te same godziny pracy, rozumiesz, prawda?

- A co z dziećmi? Mieliście dzieci? - Wcale nie zamierzał o to pytać, tak jakoś mu się wyrwało. Tym większe ogarnęły go wyrzuty sumienia, gdy spojrzał na Kerry. Jej reakcja mówiła sama za siebie. Pobladła i spuściła głowę, a potem zaczęła nerwowo skubać koniec rękawa. Miał ochotę sam sobie wymierzyć policzek. Jak mógł być tak niedelikatny? - Nie, nie musisz nic mówić, przepraszam. Nie powinienem był o to pytać.

- Quinn, wszystko w porządku, to w końcu całkiem normalne pytanie. To nie twoja wina, że odpowiedź nie jest taka prosta. - Zmusiła się, by podnieść głowę. - Kiedy Lee zginął, byłam w ciąży. Dostałam wiadomość, że jest w szpitalu, a kiedy tam dotarłam, lekarz poinformował mnie, że Lee nie żyje. Zrobiło mi się słabo i zemdlałam, a zaraz potem poroniłam dziecko. To było straszne...

Quinn bał się na nią spojrzeć. Tyle bólu i cierpienia przemawiało przez nią, że zupełnie nie miał pojęcia, jak powinien się zachować. Nie wiedział, jak może jej pomóc, zwłaszcza że poczucie straty było wciąż jeszcze ogromne.

Nie potrafił choćby złagodzić jej cierpienia, mimo iż niczego bardziej nie pragnął.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

*15 stycznia, godzina 6.00*

Quinn wszedł cicho do środka i rozejrzył się po pomieszczeniu. Wokół panowała absolutna cisza i choć było jeszcze ciemno, po jakimś czasie oswoił się z mrokiem.

Dłuższą chwilę patrzył na nią. Pięknie wyglądała, gdy spała tak spokojnie. Quinn nie miał serca jej zbudzić, choć go o to prosiła. Wiedział przecież, jak bardzo jest zmęczona.

Właśnie zszedł ze służby. Przez ostatnie trzy godziny pełnił wartę w centrum dystrybucji. Kiedy tu wrócił i odsłonił koc służący za wejściowe drzwi, zobaczył wzruszającą scenę. Petula leżała w objęciach Kerry, spały mocno przytulone do siebie, opatulone starymi kocami. Chłód dawał się bardzo we znaki, a zatem było to najlepsze rozwiązanie. Ten widok rozbroił go, choć bolało go niepomieranie, że jedyne, co im pozostało do dyspozycji, to stos kartonów, na których spali, i kilka koców. Wszystko inne Kerry rozdała, bo w jej mniemaniu wszyscy inni byli bardziej potrzebujący.

Żaden człowiek nie powinien żyć w takich warunkach, a już na pewno nie ta wspaniała kobieta, pomyślał rozdrażniony. Niestety, otrzymał wiadomość, że helikopter z tak niecierpliwie oczekiwanym transportem dotrze później, niż sądzili. Musieli poczekać na dostawę leków z San Francisco. Ciekawe, pomyślał gorzko, czy dziewczynka, która natychmiast potrzebowała insuliny, przetrzyma tę zwłokę... Wiedział, że frustracja, która narastała w nim z każdą chwilą, była jego największym wrogiem, ale nie potrafił sobie z tym poradzić.

Starał się możliwie najciszej poruszać po pomieszczeniu, w którym spały Kerry i Pet. Kerry położyła się dopiero po pierwszej, gdyż zbierała informacje od ludzi na temat ich potrzeb i problemów. Niektórzy z nich popadali w histerię, krzyczeli, nie chcieli odejść, póki nie otrzymają tego, co im się należy. Brutalnie zgłaszali swoje żądania, nie bacząc na to, że Kerry nic nie może na to wszystko poradzić i nie ma wpływu na tempo, w jakim docierały do nich kolejne transporty.

Wiadomość o tym, że mały oddział piechoty morskiej przybył z pomocą do strefy, rozeszła się po okolicy z prędkością światła. Ludzie docierali do nich z najdalszych zakątków, licząc na to, że ktoś wreszcie im pomoże i trudno się im było pogodzić z faktem, że często odprawiani są z kwitkiem.

Quinn odstawił broń, zrzucił z siebie kurtkę i zdjął kamizelkę kuloodporną. Chwilę przed świtem zmienił go w centrum szeregowy Cliff. Nawet na chwilę nie mogli spuścić z oka tego miejsca. Zdarzało się bowiem, że zdesperowani ludzie próbowali zakraść się tam nocą, by zdobyć choć trochę wody lub jedzenia. Kerry nie dawała sobie już z tym rady. Musieli jej w tym pomóc. Quinn nie miał złudzeń co do bandy Diabolo, wiedział, że nadal będzie atakować, nie robiąc sobie nic z małego oddziału żołnierzy. Pochylił się i wyjął z plecaka trzy racje śniadaniowe.

Przypomniawszy sobie, co opowiadała mu Kerry poprzedniego dnia. Straciła męża i dziecko... Pokręcił głową. Trudno mu było sobie wyobrazić, co wtedy przeżywała, a teraz jeszcze ten koszmar.

Quinn rozpakował jedzenie. Chciał sprawić jej miłą niespodziankę, obudzić zapachem porządnego, ciepłego śniadania. Petula uszczknęła wczoraj ze swojej porcji zaledwie odrobinę. Podobno czuła się potem

dobrze, ale też zjadła jak ptaszek. Jednak nawet ta odrobina jedzenia wystarczyła, by poprawić jej stan psychiczny. Płakała bez porównania mniej i była zdecydowanie bardziej ożywiona, a na jej bladych i zapadniętych policzkach pojawiły się nieśmiało rumieńce. Z Kerry sytuacja wyglądała znacznie gorzej. Za wiele ją to wszystko kosztowało, za bardzo angażowała się w sprawy ludzi i za mocno je przeżywała, by kilka racji żywnościowych miało zdecydowanie poprawić jej nastrój i kondycję fizyczną. Jednak teraz na niczym bardziej mu nie zależało, jak na tym, by ją jadła. Potrzebował jej, silnej i zdrowej, bo bez niej nic nie było tu możliwe. Tymczasem ona większość swoich porcji oddawała innym...

Quinn siedział pochylony nad podręczną kuchenką i po chwili całe pomieszczenie wypełniło się cudownym aromatem jajek i bekonu. Wiedział, że to najmiłsza pobudka w tych warunkach.

Kerry poruszyła się na łóżku i powoli otworzyła oczy. Niesforny kosmyk zsunął się jej na twarz. Quin miał ochotę podejść do niej i delikatnie odgarnąć go na bok, a potem ją pocałować. Powstrzymał się jednak, nie chcąc, by niewłaściwie odczytała jego zamiary. Uniosła się lekko na łokciu i spojrzała na niego spod przymrużonych powiek.

- Słoneczko, śniadanie gotowe - szepnął ciepło. Nie mogła uwierzyć własnym uszom. Słoneczko?

Tak się do niej zwrócił? Siedział nieopodal drzwi i uśmiechał się czule. Jego zarost z każdym dniem stawał się coraz gęstszy. Uwolniła się delikatnie z uścisku Petuli, okryła ją szczelnie kocami i cicho wstała. Oczy miała odrobinę podpuchnięte, za to usta pełne i różowe. Poczuł, jak w jego sercu zaczyna żarzyć się ogień, na jaki wcale nie liczył, i którego się nie spodziewał, a może nawet wręcz obawiał...

- Która godzina? - zapytała.

- Szósta.

- Cudownie pachnie - szepnęła, odwzajemniając jego ciepły uśmiech.

- Prawda? Dlatego zjesz dzisiaj całą porcję - powiedział z

determinacją, podając jej tackę z jedzeniem i sztucce.

Wstała i podeszła do niego.

- Dziękuję ci bardzo. - Usiadła obok niego po turecku i położyła tackę na kolanach. Zaciągnęła się zapachem bekonu i aż zamruczała z radości. - To najpyszniejsze śniadanie, jakie kiedykolwiek jadłam. Jesteś j dla mnie, co ja mówię, dla nas wszystkich, jak wspaniały rycerz w lśniącej zbroi, który uratuje miasto od pewnej zagłady...

Oczywiście przesadzała, ale poczuł, jak wypełnia go duma, jak jego serce przyspiesza biegu. Nie mógł wydusić z siebie ani słowa, tylko patrzył na nią.

Kerry wreszcie zabrała się do jedzenia, co było dla niego największą nagrodą. Wiedziała, że musi jeść powoli i dokładnie żuć każdy kęs. Nie chciała, by przytrafiło się jej to, co Sylwii. Jedzenie było zbyt drogocenne, by pozwolić sobie na taką lekkomyślność.

- Zeszłej nocy mieliśmy pięciu intruzów - zaczął Quinn. - Nikt z gangu, zwykli desperaci, którzy stracili panowanie nad sobą. A każdy z nich opowiedział tragiczną historię. Umierające dziecko, żona, matka... Błagali o butelkę wody, jedzenie, lekarstwa...

- Wiem, Quinn, jak to wygląda. - Przerwała jedzenie. - Każda odmowa tak dużo mnie kosztuje.

Pokiwał głową.

- Dobrze wiem, co masz na myśli. Aż się wszystko w człowieku kurczy.

- No właśnie. - Westchnęła ciężko i czule spojrzała na małą, która wciąż jeszcze spała.

- Pokochałaś ją...

- Tak mi się przynajmniej zdaje. Na razie zostanie ze mną, potem może uda się odnaleźć kogoś z jej rodziny. Jak to wszystko wreszcie się skończy...

- A jak nie znajdziesz jej rodziny, co z nią będzie? Kerry odstawiła na bok talerz. Zupełnie straciła apetyt.

- Nawet nie wiesz, ilu ludzi tu zginęło, gdy usiłowali z ruin swoich domów wydostać trochę żywności -szepnęła. - Ona też była o krok od śmierci...

Quinn poczuł, jak zaciska mu się gardło, ale zmusił się, by dokończyć śniadanie.

- Co się stało z tymi ludźmi, którzy napadli na centrum? - zapytała po chwili.

- Z początku byli przerażeni, gdy zobaczyli mundur, ale potem błagali o pomoc.

- I co, dałeś im coś?

- Sprawdziłem, czy nie ma ich na liście osób, które wczoraj odebrały swoje racje, ale ich nie odnalazłem. Dałem im więc trochę wody i jedzenia.

Kerry spojrzała na niego ciepło i delikatnie pogładziła go po dłoni.

- Tak się cieszę, że tu jesteś. Zbliżałam się do kresu wytrzymałości, ale teraz wstąpiła we mnie nadzieja. Świetnie sobie radzisz. Ktoś inny

mógłby zacząć strzelać. Nawet nie wiesz, jaka jestem ci wdzięczna, ile to dla mnie znaczy.

- Wszystko dlatego, że miałem dobrego nauczyciela, czyli ciebie. Widziałem, jak rozmawiałaś z nimi, widziałem, jak bardzo ci zależy, żeby poczuli trochę otuchy. — Uniósł wzrok i spojrzał na jej wzruszoną twarz, na oczy, w których błyszczały łzy i na jej pełne, drżące usta. Jak bardzo pragnął nachylić się i pocałować je. Czy by mu na to pozwoliła?

Pet przekreśliła się niespokojnie z boku na bok i szepnęła coś przez sen. Spojrzeli w jej kierunku i magiczny nastrój prysł. Wypuścił z ręki jej dłoń i powiedział cicho:

- Pora wziąć się do roboty.

***15 stycznia, godzina 16.00***

- Po prostu nie mogę w to uwierzyć. - Kerry stała obok Quinna i obserwowała, jak kilka osób wyładowywało na stół butelki z wodą, leki i żywność. Raz jeszcze sortowali wszystko, przygotowując zestawy dla najbardziej potrzebujących, zgodnie z notatkami na liście. Helikopter odleciał godzinę temu, a cały transport był już w centrum. Quinn stał z kamienną twarzą z karabinem przewieszonym przez ramię, natomiast Kerry z największym trudem hamowała w sobie narastającą ekscytację. - Trzy razy więcej niż zwykle - szepnęła z wypiekami na twarzy. - Antybiotyki, insulina, środki przeciwbólowe...

- Obiecali nam jedną taką dostawę na dzień. To dobra wiadomość. - Machnął ręką na ludzi oczekujących w kolejce na znak, że mogą już podchodzić. W ich zwykle przygaszonych spojrzeniach dostrzegł płomyk nadziei. Zbliżali się pojedynczo, bez przepychanek. Ludzie Quinna



odszukiwali ich na liście i podawali odpowiedni przydział. - Ale chyba najlepszą wiadomością jest ta, że będą próbowali przebić do nas drogę.

- To byłoby naprawdę wspaniale! - Na twarzy Kerry pojawił się promienny uśmiech. - Ciężarówka za ciężarówką, ambulanse... Wreszcie będzie można zabrać tych, którzy potrzebują pomocy medycznej. Ale by było wspaniale!

Quinn jednak wiedział, że nie będzie to takie proste, bo ani nie mieli dostatecznej ilości sprzętu, ani ludzi do tych robót. A poza tym strefa piąta była położona najdalej ze wszystkich, a na dodatek zniszczenia były największe, gdyż znajdowała się tuż przy epicentrum trzęsienia ziemi.

- Będziemy ostatnią strefą, do której dotrze transport kołowy - powiedział rzeczowo. Wiedział, że jakiś czas to jeszcze potrwa. Okoliczne szpitale pękały w szwach, a ranni byli przewożeni etapami, najpierw do bazy piechoty, a potem dalej, do placówek położonych wzdłuż Zachodniego Wybrzeża, które przetrwały straszny kataklizm. Lista oczekujących była przerażająco długa, ale Quinn miał nadzieję, że w ciągu nadchodzących dni wszystko się zmieni. - Chodźmy - szepnął jej do ucha.

Spojrzała na niego pytająco.

- A dokąd?

- Nie ufasz mi?

Roześmiała się.

- Oczywiście, że tak. - Wiedziała poza tym, że nie musi nadzorować dystrybucji, bo żołnierze Quinna zajęli się tą sprawą i była pewna, że wszystko odbędzie się jak należy.

Gdy znaleźli się na zewnątrz, delikatnie ujął jej dłoń i powiedział cicho:

- Chodź, mam dla ciebie niespodziankę.

Gdy byli blisko domu, jej serce zaczęło szybciej bić.

- Co ty kombinujesz, Quinn? Powiedz, o co chodzi, już nie mogę się doczekać. Chcesz, żebym padła tu trupem? - Roześmiała się.

- A gdzie się podziała twoja cnota cierpliwości? - przekomarzał się.

- Gdzieś znikła, więc mów, i to szybko.

- Dobra, niech będzie. Poprosiłem o kilka rzeczy dla ciebie i Pet, i przywieźli je z tym transportem. Chodź, zaraz zobaczysz.

Dzień był wyjątkowo ciepły, wiatr zelżał, a na niebie triumfalnie górowało słońce. Szli obok siebie, blisko, bardzo blisko.

- Czuję się jak dziecko, które za chwilę ma wejść na swoje przyjęcie urodzinowe, gdzie znajdzie furę wspaniałych prezentów.

- Bądź gotowa - powiedział tajemniczo. Kerry uniosła wzrok i stanęła jak wryta.

- Quinn! - wykrzyknęła i przycisnęła dłonie do ust.

- Quinn, jesteś wspaniała!

Przed nimi stał olbrzymi, zielony, wojskowy namiot. Bean Parish podszedł do nich z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Udało się, sierżancie Grayson, co do sekundy.

- Świetnie, Parish, dzięki. Dołącz do chłopaków i pomóż im przy rozdzielaniu żywności. Postarajcie się szybko z tym uwinąć.

- Tak jest. - Jednak zanim się oddalił, zwrócił się jeszcze do Kerry: - Mam nadzieję, że dobrze się tu pani będzie mieszkać. - Zasalutował, odwrócił się na pięcie i biegiem ruszył przed siebie.

- Jesteś szalony! Coś ty wymyślił? - Szybkim krokiem ruszyła w stronę nowego schronienia.

- Sama zobacz.

Po chwili dobiegł Quinna głośny pisk i okrzyk radości. Kiedy zajrzał do środka, ujrzał Kerry, jak nieprzytomnym wzrokiem wodzi po rzeczach stojących wewnątrz, a po jej rozpalonych policzkach płynęły łzy. Sam się zdziwił, bo wewnątrz wyglądało naprawdę imponująco: drewniana podłoga, cztery łóżka, sterta koców, a w głębi generator prądu, dwupalnikowa kuchenka, mała lodówka i oczywiście piecyk.

Kerry dotykała wszystkiego, jakby chciała sprawdzić, czy to sen, czy jawa.

- Pomyślałem - powiedział, drapiąc się w zakłopotaniu po głowie - że wódz piątej strefy potrzebuje paru fajnych gadżetów. Morgan był tego samego zdania. Tak jak my wszyscy, nie do końca zdawał sobie sprawę, w jakich warunkach żyją tu ludzie. No i zajął się tym z niezłym, jak myślę, rezultatem. - Zakreślił ręką szeroki łuk.

- Och, Quinn, jesteś naprawdę niesamowity. - Spojrzała na niego wzruszona. - Nikt tu nawet nie śmie marzyć o takim luksusie. Lodówka? Kuchenka?

- Tak. Lodówka... Zajrzyj do środka. - Uśmiechnął się tajemniczo.

Kerry obejrzała się niepewnie, a potem podeszła bliżej, uklękła i otworzyła drzwiczki lodówki.

- Cudownie... Mleko dla Pet... i masło... i jogurt... owoce... warzywa... - wyliczała w uniesieniu.

- Przyjrzyj się dokładnie - nalegał Quinn. - Zdradziłaś mi kiedyś, że za ciasto czekoladowe poszłabyś do piekła. Widzisz to pudełeczko? Zgadnij, co w nim jest?

Kerry nie mogła pohamować łez. Tyle się wycierpiała, głodowała, a teraz czekały na nią takie rarytasy. Czy sądziła, że już nigdy nie zobaczy czegoś podobnego?

Quinn był wspaniałym człowiekiem, nie przeoczył niczego, zapamiętał każde jej słowo. Jak miała mu za to wszystko podziękować? Wzruszenie zasznurowało jej gardło. Spojrzała na niego.

Siedział na łóżku z łokciami opartymi o kolana i podpierał głowę dłońmi. Na ustach miał uśmiech, który wyrażał szczęście i jeszcze coś więcej. Zdawało jej się przez moment, jakby Lee siedział tu przed nią. Nie miała już wątpliwości, że coś pięknego połączyło ją z tym mężczyzną.

- Jesteś cudowny - powiedziała w końcu. - Widzisz, od razu mówiłam, że masz w sobie coś z rycerza. Rycerz króla Artura... Taka jestem szczęśliwa! Ale tego wszystkiego jest o wiele za dużo.

- Nie masz racji i Morgan też jest zdania, że powinnaś zacząć dbać o siebie, jeść i spać, Słonko moje... - Sam nie wiedział, dlaczego się tak do niej zwrócił, jakoś mu się wyrwało. - Musisz nabrać sił, naprawdę. I ten mały Mysi Ogonek, którym tak ofiarnie się zajęłaś, też musi zacząć normalnie się odżywiać. Proszę...

Z radością zauważył, że nie była na niego zła za to „Słonko”. Przeciwnie, uśmiechnęła się ciepło, kiedy to powiedział.

Nie mogła dłużej tak stać, zapragnęła znaleźć się blisko niego, w jego objęciach i poczuć jego usta. Podeszła do niego, ukucnęła tuż przed nim i położyła dłonie na jego nie ogolonych policzkach. Przez chwilę patrzyła mu wprost w oczy, a potem szepnęła:

- Bardzo ci dziękuję.

Pochyliła się do przodu... i ich usta złączyły się. Od śmierci Lee nie całowała żadnego mężczyzny. Czuła, że jest zaskoczony, ale po kilku sekundach zrozumiał, że jest mu oddana i że ufa mu bezgranicznie. Odpowiedział gorącym pocałunkiem.

- Przepraszam, Quinn - odsunęła się po chwili. -Przepraszam, nie chciałam być natrętna.

- Przepraszasz mnie? Słonko, ależ to było cudowne doznanie...

Roześmiała się nieco nerwowo, odchylając do tyłu głowę. Wciąż jeszcze czuła ciepło jego warg, była podniecona.

- Żałujesz? - zapytał.

Jak pięknie wyglądała ze zmierzwionymi włosami i płonącymi policzkami. Jej rozszerzone źrenice mówiły mu, że ten pocałunek wywołał w niej podobne emocje co w nim.

- Skądże znowu, masz rację, to było cudowne. Ale jestem zszokowana, bo zwykle się tak nie zachowuję, Quinn.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

*16 stycznia, godzina 6.30*

- Nie zgadzam się, żebyś szła ze mną. Zostajesz - powiedział Quinn tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Nie ma mowy, idę z tobą. Naprawdę straszna z ciebie kwoka.

Poranek był chłodny i gdyby nie kurtka, którą dostała od Quinna, zapewne przemarzłaby do szpiku kości. Zresztą nie tylko ona mogła się dziś z tego cieszyć. Quinn zorganizował transport ciepłej odzieży i dzięki temu wielu ludzi przestało wreszcie marznąć. Sprawilo mu to duzą satysfakcję.

Ale teraz wcale nie było mu do śmiechu. Już wczoraj próbował jej wyperswadować udział w obławie na gang Diabolo. Nic z tego jednak nie wyszło, ani wczoraj, ani teraz. Nawet nie miała zamiaru słuchać jego argumentów. Musiała być przy nim, uważać, żeby nic mu się nie stało. Po tym, co przytrafiło się Lee, nie mogła puścić go samego.

Quinn nie spał prawie całą noc. Był przerażony, że nie potrafi wpłynąć na Kerry, by odstąpiła od szalonego zamiaru uczestniczenia w akcji. Po tym, co się wczoraj wydarzyło, nie chciał, by narażała się na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.

A czuł to przez skórę, że ludzie z bandy są niedaleko. W takich sprawach był jak pies, miał zawsze nosa.

Dzisiejszej nocy po raz pierwszy od nie wiadomo kiedy Sylwia, Petula i Kerry spały spokojnie. Wewnątrz namiotu było ciepło i przytulnie. Nie chciał, żeby była to ostatnia szczęśliwa noc.

- Znam tych drani jak własną kieszeń - powiedziała szeptem, wyciągając z kabury pistolet. Sprawdziła amunicję i wsunęła broń na miejsce. - Nienawidzą mundurów, będziecie więc dla nich pierwszym celem.

- Za to ciebie pewnie kochają, bo ściągnęłaś pomoc, żeby ich uziemić. Poza tym zauważ, że i ty masz na sobie wojskową kurtkę.

- To prawda, ty i ja jesteśmy tak samo dobrym celem dla Diabolo. Od trzęsienia ziemi trzy razy się na nich natknęłam, i wierz mi, oni nie znają litości. Chyba to jasno wynikało z moich raportów. Rozmawiałam też z ludźmi, którzy mieli z nimi do czynienia.

- Jak to wszystko wreszcie się skończy, chcę, żeby wylądowali na krześle elektrycznym. Po tych wszystkich potwornościach, które wyrządzili ludziom, nie mają prawa się wymknąć. Tylko pomyśl, zamordowali dwóch pilotów helikoptera i wiele osób cywilnych, a wszystko z chciwości. - Quinn podniósł karabin, doładował go i zarzucił na ramię.

- Mam coś jeszcze zabrać? - zapytała niewinnie.

- Więc nie zamierzasz zostać? - Zerknął na nią spod oka. - Proszę!

- Przykro mi, ale nic z tego.

- Czasami marzę o tym, byś była taka jak inne kobiety...

- Te z twoich wzgórz? - wpadła mu w słowo. - To strasznie nudne życie, nie powinieneś mi tego życzyć, jeśli oczywiście ci na mnie choć trochę zależy.

- Wcale nie musi być nudno. Moja siostra była doskonałym myśliwym i zdarzało się, że z polowań wracała z większym łupem niż ojciec i ja razem wzięci.



- I co, i potem wyszła za męża, i taki był koniec marzeń o radosnym, szczęśliwym życiu?

- A właśnie, że nie. Pojechała do Glen w Kentucky. To najbliższe miasto położone nieopodal naszych wzgórz. Tam zdobyła wykształcenie i jest nauczycielką. Pierwsza w naszej rodzinie, która ma dyplom college'u. Wszyscy jesteśmy z niej bardzo dumni.

- No widzisz, a więc góralki nie zawsze zajmują się tylko domem i dziećmi, bywa także inaczej. A zatem powinienesz mnie rozumieć.

- Niby prawda, tak się zdarza, ale zawsze wydaje mi się to dziwne i nienaturalne.

- Dziwne wcale nie musi znaczyć złe - powiedziała cicho i uśmiechnęła się triumfalnie.

To była pierwsza noc, którą przespalała, nie drżąc ze strachu i z zimna. A nawet miała sen, i to o Quinnie.

Śniło jej się, że kochali się u podnóża wielkiej góry, nieopodal pięknego, turkusowego jeziora, dziko i namiętnie. Wszystko było takie naturalne, oczywiste... a jednocześnie tak bardzo ekscytujące.

Rzecz jasna, nie zamierzała mu o tym opowiadać. Poza tym to wszystko nie było wcale takie proste. Zrozumiała, że jeśli kogoś naprawdę się kochało, żaloba nie mija nawet po długim czasie. Trudno było nagle wszystko zmienić, zacząć od nowa. Sprzeczne myśli kotłowały się w jej głowie i chwilami miała wrażenie, że oszaleje.

- Stało się coś? - zapytał, gdy przechodzili obok centrum handlowego. Przed ruinami domów, w naprędcie skleconych szalaszach, spali ludzie. - Wydajesz się być całkowicie nieobecna.

- Przepraszam, zamyśliłam się...

- Poczulem się przez chwilę tak, jakbym był tu zupełnie sam.

- Wróciłam na chwilę myślami do przeszłości, wybacz mi. Ciekawe, że tak to odczuleś...

- Mój ojciec mawiał, że dobry myśliwy musi mieć oczy i uszy otwarte. Podobno mam szósty zmysł, tak mówią moi przyjaciele. - Przez chwilę nie mogłem oderwać wzroku od powalonych drzew, które kiedyś zdobiły skwer. I te słupy wysokiego napięcia jak połamane zapalki... i poplątane kable... niczym gigantyczna pajęczyna. Aż się nie chciało wierzyć, że jeszcze niedawno to miejsce tętniło życiem.

- Zawsze jesteś taki czujny?

- Tak, zawsze, a już szczególnie wobec osób wyjątkowych...

- Mam rozumieć, że zaliczam się do nich? To miło, nie wiedziałam, że ze mnie taka persona - droczyła się.

Zatrzymał się na moment i popatrzył jej prosto w oczy, tak jakoś szczególnie, że przebiegł jej po plecach dreszcz.

Była naprawdę prześliczna, wiedział o tym, ale teraz, gdy się umyła i uczesała, wprost promieniała urodą. Udało mu się ją wczoraj namówić, by poświęciła trochę cennej wody na higienę osobistą. Petula też skorzystała z dobrodziejstwa kąpieli. Dobrze pamiętał, z jaką przyjemnością patrzył, jak Pet baraszkowała w maleńkiej wanience, a potem jak Kerry z czułością wycierała małą ręcznikiem. Na koniec posadziła ją sobie na kolanach i rozczesła jej długie, czarne włosy. Quinn nie miał wątpliwości, że Kerry będzie kiedyś wspaniałą matką.

Po chwili bez słowa ruszył dalej, a ona w ślad za nim. Cały czas badawczo rozglądał się po okolicy, wiedząc, że ludzie z bandy nie różnią się od innych. Jego czujność wzmagала się z każdym krokiem.

Doceniał wroga. Wiedział, że gdyby zlekceważył Diabolo, mógłby zapłacić za to straszną cenę, on i jego ludzie. Bandyci nie znali ani współczucia, ani litości. Przywódca gangu, Snake, był przebiegły i jadowity jak żmija. Podobno jakiś facet słyszał, jak ktoś zwrócił się do niego kiedyś per Williams. Ale nikt nie mógł ręczyć, że to jego prawdziwe nazwisko.

Kerry zwinęła mapę i schowała ją do kieszeni. Teraz trzeba było się skupić na każdym kroku. Drogę, z braku innego materiału, wyłożono płatami popękanego asfaltu i trzeba było bardzo uważać, by się nie pokaleczyć.

- A zatem, gdzie się znalazłaś, gdy twoje myśli odpłynęły w siną dal?

- Przy tobie - odparła cicho. - Zastanawiałam się, co pomyślałeś, kiedy cię pocałowałam. Jak na mnie, to naprawdę niezwykły przejaw spontaniczności.

Doszli do końca ulicy i zatrzymali się na moment. Kerry rozejrzała się dokoła. Miło było czuć obecność Quinna za plecami.

- Żałujesz czegoś? - zapytał, patrząc, jak wyciąga z kieszeni mapę, rozkładają i przesuwa powoli palcem wzdłuż ich trasy. - Nie chciałbym tego...

- Będę z tobą szczerą. Zadziwiła mnie ta reakcja, ale nie żałuję. Po prostu zastanawiam się, gdzie jest przyczyna, a gdzie skutek, rozumiesz? - Nerwowo pogładziła dłonią włosy. - Od śmierci Lee nie zbliżyłam się do żadnego mężczyzny. Wiem, że to o ciebie chodzi, Quinn, tego jestem całkowicie pewna. Ciebie chciałam pocałować. Podziwiam twój spokój, opanowanie i rozsądek, a zarazem wielką życzliwość dla ludzi i to, jak z

nimi postępujesz, z szacunkiem i zrozumieniem. Jesteś dowódcą, który nie stosuje siły czy przymusu, nie nadużywa władzy.

- A to takie ważne?

- Nawet nie wiesz jak bardzo. Kiedy Morgan powiedział mi, że wysłała do nas drużynę piechoty morskiej, spodziewałam się jakiegoś zarozumiałego zupaka i brutala, który cywili traktuje jak śmieci.

- Jesteśmy po prostu dobrze przeszkoleni na wszelkie okazje, a tak naprawdę to dzięki tobie posuwa się tu cokolwiek do przodu, to ty znasz tu każdy kamień i niemal każdego człowieka. - Z fascynacją patrzył na jej puszyste włosy, w których zaczynały właśnie igrać pierwsze słoneczne promienie. Zaprzagnął wtulić w nie twarz, poczuć ich jedwabistą gładkość na ustach, ich cudowny zapach...

- Nie patrz na mnie w ten sposób, bo i tak mam problem, żeby zapanować nad emocjami - szepnęła. Jej ciało zaczęło wypełniać pożądanie. Nie mogła oderwać od Quinna wzroku. Upajała się tym, co widziała w jego oczach. Dopiero teraz zrozumiała, jak bardzo do tej pory była samotna.

Ściągnął brwi. Kerry zaskoczyła go swoją otwartością. Pragnął tej niezwyklej kobiety; jeszcze nikogo nigdy tak nie pożądał.

- Posłuchaj...

- Po śmierci Lee - przerwała mu - rzuciłam się w wir pracy, zajęłam się programem dla nastoletnich narkomanów. To wypełniło mi cały czas. Nienawidziłam wracać do domu, nie mogłam znieść tej ciszy, która niezmiennie trwała wokół mnie, miałam ochotę uciec.

- Dobrze cię rozumiem, Kerry.

- Tak? Więc i ty straciłeś kogoś, kogo bardzo kochałeś? - Boże, jak bardzo chciałaby wtulić się w niego, poczuć się bezpiecznie. Jaka byłaby wtedy szczęśliwa...

- Właściwie nie, moi rodzice, bracia i siostry żyją. Jedyne dziadek zmarł i dobrze pamiętam ten dzień. Było mi wtedy bardzo ciężko, bo wiele dla mnie znaczył, ale to co innego, to inna strata, człowiek podświadomie się z nią liczył.

- To dobrze, że nie doświadczyłeś tego, co ja. Nawet to potworne trzęsienie ziemi jest niczym w porównaniu z tym, co przeżywałam po śmierci Lee... i dziecka.

Delikatnie pogładził ją po policzku.

- Dziękuję, że opowiedziałaś mi tę historię, że zechciałaś podzielić się ze mną swoim cierpieniem. Słoneczko, dzięki temu lepiej cię rozumiem.

Nie odrywał od niej wzroku. Jej policzki pokryły się rumieńcem, a źrenice stały się niemal tak duże jak tęczówki. Zdawało mu się, że Kerry drży lekko. Jeszcze nigdy nie spotkał tak szczerą i cudowną kobietę. Poruszyła jego serce, odnosił wrażenie, że nie ma rzeczy, której by dla niej nie poświęcił. Była tego warta. A spadło to na niego tak nieoczekiwanie, że nie miał pojęcia, co z tym począć. Czuł się chwilami jak małe, bezradne dziecko.

- Lubię, jak mówisz tak do mnie, no wiesz... Słońce, Słoneczko... Czy w górach, z których pochodzisz, mężczyźni właśnie tak zwracają się do kobiet?

- Mój dziadek tak mówił do babci. Przypominasz mi ją, choć ma już około siedemdziesiątki. Ale nadal jest zwariowana i ma szalone pomysły.

- Ach tak, więc jestem wariatką i mam szalone pomysły? Miło słyszeć - przekomarzała się.

- Normalna kobieta nie pcha się do policji, to po pierwsze.

- A po drugie to mamy równouprawnienie, panie sierżancie.

- A po trzecie... mówiąc już całkiem poważnie... gdybyś nie była osobą w dobrym tego słowa znaczeniu trochę szaloną, nigdy byś nie zorganizowała tego wszystkiego.

- A więc jednak jestem wariatką?

- Tak. - Roześmiał się.

- Skoro tak twierdzisz, nie zamierzam się spierać. Ale, proszę, niech to będzie nasza tajemnica, dobrze? Nie zdradź tego innym ludziom, bo stracę wszelki autorytet.

- Jasne, przecież nie ogłoszę wszem i wobec, że pani szeryf ma nie po kolei w głowie... Och, Kerry, nawet nie wiesz, jaka jesteś wspaniała. - Spojrzał na nią czule. - A teraz chodźmy w kierunku strefy szóstej, na wschód. Trzeba tam zrobić mały rekonesans.

Kiwnęła głową i ruszyli przed siebie ramię w ramię. Ich strefa budziła się właśnie do życia. Ludzie wygrzebywali się ze swoich postoi, wylęgaliby na ulice i rozpalali ogniska.

Gdy szli, raz jeszcze zerknęła na Quinna. To przecież niemożliwe, żebym w takim tempie się w nim zakochała, pomyślała.

Cóż, było to zupełnie nie w jej stylu.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

*16 stycznia, godzina 15.00*

Krótko przed trzecią w pobliżu granicy ze strefą szóstą natknęli się na członków bandy. Znajdowały się tam jednorodzinne domki szeregowe, które nie do końca zostały zrujnowane przez trzęsienie ziemi i można się było spodziewać, że zaanektują je gangsterzy.

Ich plan był prosty: zamierzali zdobyć całą gotówkę i wszystkie cenne przedmioty, jakimi dysponowała uwięziona w gruzach ludność, a potem ulotnić się, zatrzeć za sobą ślady i żyć w luksusie. Dlatego polowali na wszystko, co dało się w jakikolwiek sposób spieniężyć, począwszy od żywności, poprzez ubrania, środki higieny i odsprzedawali to innym. Musieli zgromadzić już dużą sumę, do tego dochodziły kosztowności.

Ocalałe domy stanowiły również schronienie dla całych rzesz ludzi. Tworzyły się w nich wspólnoty liczące nawet kilkadziesiąt osób. Wszyscy schodzili się wieczorem, by w grupie przetrwać pod dachem zimną noc.

Quinn i Kerry szli prężnym krokiem przez zgliszcza, zmierzając w kierunku ocalałych domów. Wysoko na niebie świeciło mocne jak na styczeń słońce. Quinn raz po raz poprawiał coś przy kurtce, a tak naprawdę obcierała go kuloodporna kamizelka. Najchętniej zerwałby ją z siebie, ale zachował zdrowy rozsądek i nie zrobił tego.

Zbliżali się właśnie do niewielkiej kolonii, składającej się z trzech domków, gdy nagle Kerry ostrzegawczo uniosła dłoń.

- Poczekaj - szepnęła. - Coś jest nie tak...

- Ale co? - zapytał Quinn, przyglądając się badawczo sporej grupce ludzi stojącej przed jednym z domków. Było tam około trzydziestu osób i



wszystkie jak jeden mąż wpatrywały się w coś, czego oni nie mogli dojrzeć.

- Kłopoty - szepnęła ledwie słyszalnym głosem. - Myślę, że to Diabolo...

Nie miał pojęcia, skąd przyszła jej do głowy ta myśl, ale nie zamierzał z nią dyskutować. Gdy Kerry wyciągnęła z kabury pistolet, on również przygotował karabin do strzału, i właśnie w tym momencie ze świstem przeleciała tuż koło nich seria z karabinu maszynowego.

W powietrzu wzbił się tuman kurzu, utrudniając widoczność. Nie było czasu na myślenie, teraz liczył się dobry refleks i mocne nerwy. Kerry rzuciła się na ziemię i wymierzyła broń w tłum. Dopiero w tym momencie Quinn dostrzegł wysokiego mężczyznę w białej przepasce, który biegł w ich kierunku z wyciągniętym przed siebie karabinem maszynowym. Z jego lufy wydobywały się czerwono-zielone ogniki.

Quinn dał nura i zdołał się ukryć za stertą złomu. Zaklął szpetnie pod nosem, sarkając na siebie za nonszalancję, z jaką szli przez miasto. Po chwili bandyta zaczął się wycofywać i wkrótce wtopił się w tłum.

Gdzie podziała się Kerry? Rozejrzał się dokoła, ale wszędzie panowała całkowita cisza, nigdzie nie było po niej nawet śladu. Wreszcie jego wzrok padł na przewrócony samochód i kątem oka zauważył za nim niewielki cień. Niemal w tym samym momencie cień oderwał się od auta i na drogę wybiegła Kerry z uniesionym do góry pistoletem. Poderwał się do góry i chciał ruszyć jej z pomocą, lecz ona krzyknęła:

- Padnij!

Bez zastanowienia wykonał rozkaz i w tej samej chwili nad jego głową przeleciały ze świstem kule. Zaraz jednak zorientował się, że nie do

niego skierowany był ten okrzyk, lecz do cywilów, z którymi zmieszali się członkowie gangu. Chciała mieć pewność, że nie zrani niewinnych ludzi.

Quinn zerwał się na równe nogi i jednym susem znalazł się za samochodem. Był bezpieczny. Rozejrzał się. Ale gdzie podział się ten cholerny snajper? Serce waliło mu jak młotem, a na czoło wystąpiły kropelki potu. Nieobliczalni są tacy idioci, wiedział o tym zbyt dobrze. Dla nich żadne ryzyko nie było zbyt duże i żadna ofiara zbyt wielka. Wyrzwał zza auta i ze zdziwieniem stwierdził, że wszyscy cywile padli na ziemię. A więc zrozumieli przesłanie Kerry. Jak na dłoni ujrzał trzech facetów z białymi chustami na głowach. Uzbrojeni byli po zęby: karabiny maszynowe, granaty, pistolety, noże.

Nie mógł namierzyć Kerry. Nerwowo szukał jej wzrokiem, aż wreszcie ją dostrzegł. To czyste szaleństwo, tego się nie spodziewał. Była na odkrytym terenie, nie miała żadnej możliwości, by się ukryć. Nagle przyklękała na jedno kolano i wycełowała w stronę bandytów.

- Psiakrew - syknął Quinn i natychmiast oddał trzy strzały.

Jeden z bandziorów padł jak długi, upuszczając karabin. Quinn wiedział jednak, że to za mało. Pozostało ich jeszcze co najmniej dwóch, a Kerry była niczym łowna zwierzyna schwytna w potrzask. Diabolo nie mieli skrupułów, o tym zdążył się już przekonać.

Kątem oka dostrzegł, jak dwaj pozostali bandyci składają się do strzału. Jeszcze jedna krótka seria z karabinu, i kolejny z nich leżał na ziemi. Boże, to prawdziwy cud, przemknęło Quinnowi przez głowę, ale nie było czasu na myślenie. Czy to możliwe, żeby żaden z nich nawet jej nie postrzelił? Nie chciał patrzeć w jej stronę, to byłoby zbyt bolesne, musiał całkowicie wyłączyć emocje. Tylko precyzja i koncentracja mogły

przynieść pożądany efekt. Nie może pozwolić sobie na stratę choćby jednej sekundy. Musiał też uważać na cywili. Wprawdzie leżeli bez ruchu, twarzą do ziemi, ale nikt nie mógł przewidzieć, co stanie się za chwilę. Może któryś z nich się podniesie, ogarnie go panika, będzie chciał uciekać...

Quinn? Nie, nie myślała teraz o nim, nie było na to czasu, sama była w poważnych opałach. Wierzyła w niego, wierzyła, że da sobie radę, że nie będzie go tak łatwo ustrzelić. Zdawało jej się, że widziała, jak rzuca się za przewrócony samochód, zza którego ona wymaszerowała. To był błąd, wystawiła się na pewną śmierć i bardzo ją dziwiło, że jeszcze nie nadeszła. Co dziwniejsze, został już tylko ostatni z bandziorów, a więc jej szanse na przetrwanie wyraźnie wzrosły. Nie miała pojęcia, kto załatwił tamtych dwóch facetów, czy ona sama, czy może Quinn. Nie miało to jednak najmniejszego znaczenia, najważniejsze, że leżeli martwi. Celowała w głowę, to jedyna pewna metoda, że bandzior zginie na miejscu. Poza tym wokół było mnóstwo cywili, nie chciała nikogo zranić. Usłyszała świst i zadrżała, a palec osunął się jej ze spustu. Więc jednak nie zdążyła wypalić. On był pierwszy. A gdzie jest Quinn? W pierwszej chwili poczuła jedynie ciepło. Rozpełzło się po jej udzie, niczym obślizgłe gady.

Natychmiast przywołała się do porządku. Była zbyt skupiona na zadaniu, by poczuć cokolwiek innego, ale wiedziała, że ją trafili. W ułamku sekundy zebrała siły, wycelowała i wystrzeliła. Sama nie wiedziała, kiedy i jak to się stało. W tym momencie wokół niej rozległ się potworny świst i nim zdążyła cokolwiek uczynić, straciła przytomność. Nie zarejestrowała nawet, że jej strzał dosięgnął trzeciego z gangu.

Dopiero teraz Quinn spojrział w kierunku Kerry i dostrzegł, jak ta osuwa się na ziemię. Życie bywa nader okrutne.

- Nie! - krzyknął jak oszalały. - Nie!

Niczym na zwolnionym filmie widział, jak pistolet wysuwa się jej z ręki, jak upada obok niej na chodnik, a ona, niczym szmaciana lalka, osuwa się na ziemię.

Zerwał się na równe nogi i pognął w jej kierunku.

- Kerry, Kerry! Słyszysz mnie? Kerry? - Delikatnie gładził jej włosy.  
- Żyjesz? Kochanie... żyjesz? - Dotknął jej twarzy. Oddech miała płytki, urywany, ale żyła.

Wokół zrobił się wielki harmider. Ludzie zaczęli podnosić się z ziemi, krzyczeć i przeklinać. Dał się słyszeć przejmujący płacz dzieci i lament kobiet. Ale dla Quin-na nic się teraz nie liczyło, nic nie było ważne. Oni żyli, nie ich trafiły dwie zdradzieckie kule. Jeden rzut oka wystarczył mu, by dostrzec dużą, czerwoną plamę na spodniach, a zaraz potem, gdy chciał wygodniej ułożyć głowę Kerry, zobaczył ranę na jej skroni.

- Parszywe sukinsyny! - zaklął pod nosem, a w jego oczach pojawiły się łzy. On, znany twardziel, miał łzy w oczach.

Tak strasznie się przeraził, bo była potwornie blada, jakby uszło z niej życie. Drżącymi rękami sprawdził jej puls.

- Dobra dziewczynka - szepnął - dzielna mała... - Pogładził ją po policzku i chwycił za radio. Nie miał ani chwili do stracenia, wiedział, że liczy się każda sekunda. Palce mu dygotały jak w febrze, ale zdołał wystukać kod bazy medycznej.

Teraz na dobre dały znać o sobie nerwy. Nieustannie zerkał na pobladałą, papierową twarz Kerry, na jej sine wargi.

- Boże - szeptał - niech się tam wreszcie ktoś odezwie! Halo, halo!

Wokół niego zaczęli tłoczyć się ludzie, stawiali mu jakieś pytania, wypowiadali słowa, z których nic nie rozumiał. Zdawało mu się, że ciszy w radiu nikt już nigdy nie przerwie, że będzie tak trwać i trwać, jakby czas stanął na zawsze w miejscu. Nie słyszał nic, tylko tę okrutną ciszę.

Miał wrażenie, że minęła wieczność, nim dobiegł go jakiś głos. Jeszcze przed ułamkiem sekundy zdawało mu się, że zapadł się w czarną dziurę, że przestał istnieć w dotychczasowym wymiarze i nigdy nie powróci do rzeczywistości. Ale teraz już wiedział, że ten głos to ratunek.

- Halo, halo, strefa piąta, kolonia domów jednorodzinnych na granicy ze strefą szóstą! Po napadzie Dia-bolo mamy ranną, stan krytyczny! - ryczał w słuchawkę. - Pospieszcie się, to Kerry Chelton, postrzał w skroń, stan ciężki, stan ciężki!

- Piętnaście minut - usłyszał w odpowiedzi i połączenie zostało przerwane.

Cały świat stracił swoje kontury, Quinn nie słyszał ani wrzawy wokół niego, ani płaczu dzieci, ani krzyków, ani jęków. Przeszklonymi oczami patrzył na kobietę, która stała się najważniejszą osobą w jego życiu, bez której nic już nie będzie miało sensu. Wiedział, że czeka go najdłuższe piętnaście minut, jakie kiedykolwiek przeżył.

Ujął jej dłoń, by skontrolować puls, i już jej nie wypuścił. Nieustannie sprawdzał, czy jej serce wciąż bije. Bał się, że gdy wypuści jej dłoń z ręki, natychmiast ujdzie z Kerry życie.

Poczuł na sobie czyjś dotyk. Ktoś przyniósł koc, by okryć Kerry. Podniósł wzrok i zobaczył przerażone twarze ludzi, którzy tak dobrze ją znali, wiedzieli, co jest warta. To ona niosła im pomoc, dbała, by mieli na czas leki i wszystko, co tylko było możliwe. Nigdy nikomu nie odmówiła, zawsze dawała z siebie, ile tylko mogła. Doceniali to, zwłaszcza w tak dramatycznej sytuacji.

- Uratowaliście nam życie - załkała jedna z kobiet, z przerażeniem patrząc na nieruchomo leżącą Kerry. - Chcieli zastrzelić mojego syna za tę odrobinę pożywienia, która nam jeszcze została. - Zapłakała, kurczowo trzymając za rękę chłopca stojącego obok niej. - Bardzo wam dziękuję, dziękuję, ale nie chciałam, by przytrafiło się jej coś złego. To taka dobra kobieta, wyjątkowa - dodała po chwili i łzy popłynęły jej ciurkiem po twarzy.

Quinn czas jakiś spoglądał na nią nieprzytomnymi, niewidzącymi oczami, aż wreszcie odezwał się matowym głosem:

- Zróbcie trochę więcej miejsca, nie możecie już jej pomóc, choć pewnie wielu by chciało... Chyba że jest tu między wami lekarz? Właśnie, jest tu lekarz? - Błagał w duchu, by ktoś się teraz odezwał, by przyklęknął przy nich i ratował Kerry.

Ale tłum postąpił w milczeniu kilka kroków do tyłu i zapadła cisza.

Quinnem wstrząsnął lodowaty dreszcz. To jeszcze nie pogrzeb, pomyślał. Nerwowo sięgnął do kieszeni, w której znajdował się podręczny zestaw medyczny. Przemyślił i opatrzył ranę na skroni, a potem zajął się nogą. Nie, to nie mogło się tak skończyć, ona nie może zginąć w tak bezsensowny sposób, nie może się poddać. Miał ochotę wyć z bezsilności, wyć i jęczeć jak wściekły pies.

*16 stycznia, godzina 17.00*

- Jak ona się czuje?

Quinn odwrócił się w stronę, z której dobiegał niski męski głos. Przed drzwiami do sali operacyjnej dostrzegł niewielką postać Morgana Trayherna. Pułkownik miał ściągnięte brwi i zatroskany wyraz twarzy.

- Nie wiem. - Quinn rozłożył ręce w bezradnym geście. - Jest na sali operacyjnej od przeszło godziny, ale nie wiem, co się tam dzieje. Tak jak sądziłem, postrzał w udo to pestka, ale rana głowy jest poważna.

Osunął się po ścianie, potem czas jakiś siedział w kucki, skulony, z głową opartą o kolana. Wyglądał jak obraz nędzy i rozpaczy, nie mówiąc już o tym, że ręce i mundur miał wybrudzone krwią Kerry.

Morgan podszedł do niego i poklepał go po ramieniu.

- Cholera, Quinn, nawet nie wiesz, jak strasznie mi przykro... - Raz jeszcze klepnął go i usiadł na krześle.

- Powiedz, jak to się stało?

Quinn poczuł, jak zaciska mu się gardło, a do oczu napływają łzy. Nie spodziewał się, że tak ciężko będzie mu o tym mówić. Wbił wzrok w podłogę, żeby Trayhern nie dostrzegł jego szklistego spojrzenia, i chciał już zacząć, coś powiedzieć, ale nie mógł wydusić z siebie ani słowa.

- W porządku, nie spiesz się - mruknął Morgan, widząc łzy błyszczące w oczach swojego młodego przyjaciela. - Odpocznij, potem pogadamy.

Ale Quinn przetarł dłońmi oczy, odchrząknął i zaczął mówić.

Widział, że Morgan jest zaskoczony bezwzględnością członków gangu. Po chwili potwierdził przypuszczenia Quinna.



- Muszę przyznać, nie liczyliśmy się z takim obrotem sprawy. Nie sądziłem, że będą aż tak okrutni. Nie spodziewałem się, że są tak mocni i tak dobrze uzbrojeni. Dotarły już do nas raporty o ich działalności w innych strefach. Są liczniejsi i silniejsi, niż nam się wydawało. Wobec takiej przewagi nawet najdzielniejsza drużyna nie ma żadnych szans. Po prostu jest ich zbyt wielu. - Morgan pokręcił głową i podrapał się po czole.

- Trzeba utworzyć oddział specjalny do zwalczania gangu, w skład którego wejdzie także lekarz i sanitariusze. Za wszelką cenę musimy się z nimi uporać.

- A co zrobić, sir, z tą listą potrzeb sporządzoną w strefie Kerry? Co będzie z tymi ludźmi? Bandydzi używają ich jako tarczy...

- Wiem, Quinn, jasna cholera, wiem! - zachnął się Morgan, wstając. - Odpocznij trochę, a my coś wymyślimy. Masz zarezerwowany pokój w hotelu oficerskim. Idź już, wykup się i prześpij. Znajdziesz tam też świeże ubranie. To rozkaz.

W hotelu oficerskim? Quinnowi zdawało się, że się przesłyszał. Nie należał przecież do kadry oficerskiej, nie miał tam nic do szukania.

Morgan zauważył jego zaskoczenie.

- Jeszcze nie miałem okazji ci powiedzieć, ale dostałeś awans. Dziś wpłynęła nominacja, jesteś więc podporucznikiem.

Co takiego? To nie był dobry moment na takie rzeczy. Quinn nie mógł się teraz ucieszyć, choć w innych warunkach byłby bardzo szczęśliwy. Ale nie dziś, kiedy ważyło się życie Kerry, kiedy nikt nie mógł mu zagwarantować, że zdołają ją uratować. Był zszokowany i jednym, i drugim, dlatego milczał, nie miał pojęcia, co powinien teraz powiedzieć.

Wszystko, w jego mniemaniu, zabrzmiałoby równie głupio. Za to w oczach Morgana widoczna była satysfakcja.

- Na nowym mundurze znajdziecie gwiazdki, podporuczniku - powiedział z ciepłym uśmiechem. – No już, zbieraj się stąd, synu, niczego tu nie wysiedzisz, to nie ma sensu. - Morgan spojrział na zegarek. - Muszę już iść, i tak jestem spóźniony na zebranie. Spróbuję się tu pojawić za jakieś dwie godziny, może się więc spotkamy. Chcę, żebyś wiedział, że wielu ludzi modli się za Kerry. Kiedy patrzę tak na ciebie, przypomina mi się podobna sytuacja z mego życia. Widzę, ile ona dla ciebie znaczy, masz to wypisane na twarzy i słyszałem to w twoim głosie. Miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze, że dobrze się skończy.

Kiedy Morgan zniknął za drzwiami, Quinn wstał i ruszył w stronę dyżurki. W jego głowie kłębiły się sprzeczne myśli, a sercem targały sprzeczne uczucia.

- Co jest z Kerry Chelton? Wiadomo już coś? - zapytał matowym głosem, bojąc się usłyszeć to najgorsze.

- Nie wiem - odparła jedna z pielęgniarek. - Jedyne, co wiem, to że jest na sali operacyjnej numer trzy, sierżancie. Musicie poczekać.

Quinn skinął głową.

- Oczywiście - szepnął.

Stał jeszcze przez krótką chwilę, wpatrując się nieprzytomnie w ścienny zegar, ale nie miał pojęcia, która była na nim godzina. Po chwili odwrócił się i skierował do windy. Tak bardzo chciałby trzymać Kerry za rękę i szeptać jej czułe słowa, że wszystko będzie dobrze, że musi być dzielna, przetrwać, przetrzymać to wszystko, jeśli już nie dla siebie, to dla niego, dla innych, dla wszystkich, którzy ją kochali...

Na korytarzu zrobiło się zamieszanie. W nerwowym pośpiechu minęła go grupa personelu operacyjnego -lekarze i pielęgniarki. Czyżby spieszyli się do Kerry? Czy jest z nią aż tak źle?

Oparł się czołem o ścianę, próbując zapanować nad wszechogarniającą paniką. Wcale przecież nie powiedziane, uspokajał się, że to do niej biegli. Tyle jest tu przecież sal... Uniósł rękę, by przywołać windę. Po chwili jej drzwi otworzyły się i wszedł do środka. Zauważył, że jechało nią pięciu mundurowych, a obok, na noszach, leżała kobieta. Jeden z mężczyzn trzymał na stojaku kroplówkę, której drugi koniec tkwił w ramieniu chorej.

Quinn znowu poczuł szpony strachu zaciskające się na gardle. Marzył o tym, żeby wyjść wreszcie z tej przeklętej windy, która uparcie stawała niemal na każdym piętrze. Wyjść na zewnątrz i nabrać w płuca świeżego powietrza, odetchnąć inną atmosferą.

Wypadł ze szpitala jak z procy. Słońce chyliło się ku zachodowi i zrobiło się wyraźnie chłodniej. Szedł szybkim krokiem przed siebie, mijając po drodze mnóstwo ludzi. Nie patrzył jednak na ich twarze, nie rozpoznawał ani mijanych sklepów, ani reklam, które przecież znał jak własną kieszeń. Pędził do przodu, jakby chciał przegonić czas, żeby już wreszcie znaleźć się w hotelu, by wykonać polecenie Morgana i jak najszybciej powrócić do szpitala. Tam, na stole operacyjnym leżała jego Kerry. Może gdy wróci, lekarze będą mieli coś więcej do powiedzenia. Ten niespodziewany awans dobił go do reszty. Nie chciał mieć teraz powodów do radości, to nie w porządku, Morgan nie powinien mu być teraz o tym mówić. Dziś nic go nie obchodziło, najważniejsza była Kerry, która wpadła w uścisk śmierci.

Ku jego zaskoczeniu w hotelu obsługa poinformowana była o jego przybyciu. Bezzwłocznie wręczono mu klucze i nikt nie ośmielił się rzucić mu niestosownego spojrzenia, choć zważywszy na jego wygląd, nie byłoby w tym nic dziwnego. Nikt też nie zadał mu choćby jednego zbędnego pytania.

Quinn ruszył powoli schodami na górę. Z niedowierzaniem raz po raz zerkał na zaplamioną kurtkę i spodnie, na brudne ręce. Wreszcie znalazł swój pokój i otworzył drzwi. Olbrzymie łoże, pościel w kwiaty i ciężkie zasłony w oknach wprawiły go w osłupienie. Stał przez chwilę, nie wiedząc, co ma z sobą zrobić. Świat, z którego dziś się wydostał, w niczym nie przypominał tego wymuskanego, eleganckiego pokoju, w którym znaleźć można było chyba wszystko, czego dusza zapagnie: nieskazitelnie czyste ręczniki, pachnące mydło i szampon, lodówkę wypełnioną po brzegi napojami...

Poczuł tak silne pragnienie, że niemal wyrwał z niej drzwiczki. Przechylił butelkę z wodą i wlał ją sobie do gardła. Zaklął na głos sfrustrowany do granic możliwości. Przecież tam, pomyślał z wyrzutem, ludzie nadal umierali z pragnienia i z głodu. Czyżby był jedną z postaci jakiejś komputerowej gry? Otworzył drugą butelkę i znowu opróżnił ją jednym tchem. W łazience zrzucił z siebie ubranie i kopnął je z pogardą w kąt. Nigdy wcześniej nawet nie przypuszczał, że tak cudowne działanie mógł mieć prysznic, że może przynieść tak niesłychaną ulgę. Stała mu przed oczami Kerry, kiedy po dwóch tygodniach wreszcie mogła się umyć w polowych warunkach. Jaka była wtedy szczęśliwa, a teraz... leżała pod respiratorem i walczyła o życie. Poczucie winy sparaliżowało go na

moment. Dlaczego to ona tam leży, a nie on? O ile bardziej wolałby sam znaleźć się teraz na stole operacyjnym...

Opary gorącej wody rozkleiły go do reszty i po jego twarzy popłynęły łzy tęsknoty i rozpacz. Czegoś takiego jeszcze nie przeżył. Inne zdanie miał na swój temat, sądził, że jest nieugięty, twardy jak stal, a tymczasem zdawało mu się, że za chwilę rozpadnie się na tysiące drobnych części. Woda obmywała jego zmęczone ciało, porywając ze sobą, niczym wartki, górski strumień, spływające po jego policzkach łzy.

Poczuł się bezradny, takie mu się to wszystko zdawało bezsensowne. Tyle zła, bólu, rozpacz... nie do przewidzenia, nie do wyobrażenia. Nic nie można było zaplanować, bo żaden plan nie ogarnąłby takiej rzeczywistości. I jego Kerry, taka cudowna, bezinteresowna, oddana... Nie można było jej nie kochać! Dlaczego właśnie ją musiała dosięgnąć ta zdradziecka kula?

Nagle przetarł twarz dłońmi, odgarnął do tyłu włosy i szeroko otworzył oczy. Przecież ona nie wie, co on do niej czuje. W jednej chwili ogarnęła go kolejna fala rozpacz. Nie poznała prawdy, nie zdążył jej nic powiedzieć, a może sam nie rozumiał, że ją kocha? A jeśli jej nie uratują, jeśli nie uda się jej dobudzić, ocucić, albo jeżeli odejdzie podczas operacji? Tak cudowny człowiek, taka anielska kobieta zginie z ręki podłych, bezwzględnych bandziorów?

Jego oddech stał się ciężki i urywany, poczuł się, jakby sam miał za moment umrzeć. Przeważenie sparaliżowało go, przez krótką chwilę miał wrażenie, że już nigdy nie wydostanie się z tej kabiny, że pochłonie go jak czarna dziura.

Wstrząsnął nim lodowaty dreszcz, a z oczu znowu popłynęły gorące łzy. Łkał jak dziecko i gdyby nie szum spływającej wody, z pewnością ludzie przechodzący korytarzem przystawaliby ze zdziwieniem pod jego pokojem. Paniczny strach o życie kobiety, którą kochał, powodował, że nawet łzy nie przynosiły mu ulgi, lecz jeszcze bardziej rozdzierały mu duszę.

Bezradnie ukrył twarz w dłoniach, a potem, nagle, jakby zbierał siły do walki, zacisnął rękę w pięść i walnął w ścianę wyłożoną nieskazitelnie białymi kafelkami.

- Nie! -ryknął na całe gardło. - Nie! Ona nie może umrzeć!



## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Więc mówi pan, że wprowadzili Kerry w stan śpiączki? Wiadomo, na jak długo? - zapytała cicho Laura Trayhern.

Dotarła na oddział chirurgiczny, mimo że sama wciąż czuła się fatalnie. Była blada i mizerna, a jej zagipsowana noga sztywno spoczywała na wózku.

- Sam nie wiem dokładnie - odparł nieprzytomnie Quinn.

Był wykończony. Do hotelu wpadł jedynie po to, by się umyć i przebrać. Nie chciał wzbudzać u ludzi odrazy. A potem siedział tu ileś godzin na twardym, plastikowym krześle i czekał na rozmowę z doktor Edmonds, która operowała Kerry. Potarł zaczerwienione oczy i przełknął nerwowo ślinę. Ale wcale nie było to łatwe, miał bowiem wrażenie, jakby w jego przelyku utkwiał potężny kamień.

Próbował panować nad głosem, nie chciał, żeby pani Laura miała następną zgryzotę z jego powodu. Tyle trudu sobie zadała, żeby tu dotrzeć, porozmawiać z nim.

- Potrwa to jakiś czas, bo nie chcę dopuścić do... - Załamał mu się głos; więc na nic zdały się te wszystkie zabiegi, nie potrafił opanować swojej rozpacz. Zresztą co tam, i tak nie zdoła ukryć, co teraz przeżywa, co dzieje się w jego duszy.

- Obrzęku mózgu? - dokończyła za niego. Kiwnął głową.

- Ale sam mózg nie został uszkodzony?

- Nie, na szczęście nie. Doktor Edmonds mówiła, że Kerry ma pękniętą czaszkę w okolicy skroni... Wszystko mi się miesza w głowie, nie



jestem pewien, ale wiem, że obawiają się obrzęku mózgu, pani Trayhern. -  
Wypuścił z poświstem powietrze.

- Mówmy sobie po imieniu, proszę. Jak wiesz, jestem Laura. -

Uśmiechnęła się. - Proszę być dobrej myśli, bo wygląda na to, że nie jest aż tak źle. Powinna z tego wyjść...

- Chyba tak... - wyszeptał bezwiednie. Tak naprawdę nic już do niego nie docierało. Siedział tu od pięciu godzin, bezradny, beczynny. Mógł tylko czekać. Nic nie mógł zrobić, by przyspieszyć bieg rzeczy. Nienawidził takiej bezsilności. Był energicznym człowiekiem czynu, żołnierzem...

Laura pochyliła się i pogładziła go po ramieniu.

- Widzę, że jesteś ledwo żywy. Powiedz, widziałeś ją już?

- Nie, nikt nie ma teraz do niej dostępu, ja też nie. Kim ja zresztą jestem? Za chwilę zostanie przewieziona na oddział intensywnej terapii. -  
Wbił wzrok w podłogę, jakby znajdował się pośrodku bezgranicznego koszmaru. Wszystko o czym marzył, to zobaczyć ją, dotknąć jej włosów, policzka... - Boże... - westchnął ciężko.

Chciał tylko przekonać się, że ona żyje, oddycha... tylko tyle. Zacisnął zęby i ręce z taką siłą, jakby od tego gestu zależeć miało wszystko, jakby mógł zawrócić bieg rzeczy, oszukać los. Nagle przez moment miał wrażenie, że to nie Laura siedzi naprzeciwko niego, lecz Kerry. Kerry i Pet, są na wyciągnięcie ręki, wtulone w siebie, tak sobie bliskie...

Przetarł oczy, po chwili wszystko wróciło do normy.

A więc ma zwidy. Jest skrajnie wyczerpany, w głowie mu się miesza... Kiedy wreszcie się dowie, co z Kerry?!

- Quinn?

Uniół głowę i spojrzał na Laure.

- Chciałabym cię prosić... Gdy już jej dotkniesz, zobaczysz, że żyje, to pójdziesz do hotelu i prześpisz się trochę. Fatalnie wyglądasz, jakbyś sam miał... -Ugryzła się w język. - Musisz odpocząć, będą ci potrzebne siły. - Uśmiechnęła się ciepło. - Zgoda?

- Tak, Lauro, będą potrzebne mi siły. - W jego oczach pojawił się złowrogi błysk. - Mam pewne rachunki do wyrównania... Gdy tylko Kerry... gdy się wszystko wyjaśni, wrócę tam i odpłacę tym łajdakom.

- To potrwa, na razie musisz być przy niej. Morgan mi mówił, że szykują już zastępstwo za ciebie. Chyba będziesz spokojniejszy o swoich ludzi?

- To nie jest potrzebne, Lauro. Jestem żołnierzem i znam swoje obowiązki. To są moi ludzie - powiedział z dumą. - Gdyby nie Kerry, nigdy bym ich nie opuścił, ale sprawa z Diabolo musi być załatwiona. Przysięgłem to sobie

- Powoli, Quinn, powoli, wszystko w swoim czasie. Pogłaszczesz Kerry, wyśpisz się i wszystko wyda się prostsze. Morgan prosił, żebyś stawił się w jego biurze jutro o dziewiątej rano. A do tego czasu masz wrócić do sił. To jego prośba... i rozkaz - dodała po chwili z wahaniem. - A ja mogę cię tylko o to prosić. I proszę. Naprawdę martwię się o ciebie.

- Bardzo dziękuję.

- Sierżant Grayson?

Odwrócił się. Stała za nim pielęgniarka w jasnoniebieskim fartuchu.

- O, przepraszam - szepnęła, spoglądając na pagony Quinna. -

Poruczniku, szeryf Kerry Chelton została przewieziona na salę

intensywnej terapii. Pułkownik Trayhern powiedział mi, że jesteście państwo zaręczeni, a zatem jest pan traktowany przez nas jak członek rodziny. Może więc pan ją zobaczyć. Uprzedzam jednak, że wizyta nie może przekroczyć pięciu minut, i tak co godzinę. Takie są przepisy, poruczniku Grayson.

Poruczniku... jak dziwnie to brzmiało. Upłynie jeszcze trochę czasu, nim się do tego przyzwyczai. Nigdy by nie przypuszczał, że w tak zwrotnym tempie zostanie oficerem.

A Morgan dołożył do tego awans na narzeczonego najwspanialszej kobiety na świecie. Wprawdzie Kerry jeszcze nic o tym nie wie, ale będąc kapitanem, chyba nie zlekceważy decyzji samego pułkownika. Co szarża, to szarża...

Chciało mu się śmiać i płakać.

- Rozumiem, dziękuję bardzo. - Był głęboko poruszony, z trudem mówił. - Tak pragnę ją zobaczyć. Dziękuję, siostró. Lauro, jestem ci niezmiernie, wdzięczny za wsparcie...

Pani pułkownikowa uśmiechnęła się, a potem szepnęła do Quinna:

- Namówiłam Morgana, żeby powiedział o tym narzeczeństwie. Taki niewinny podstęp. Inaczej by ciebie do niej nie dopuścili. - Spojrzała na niego z ciepłym uśmiechem.

- Jeszcze raz serdeczne dzięki.

- Zatem idź do niej. Pamiętaj, że może cię słyszeć, więc nie rozpaczaj, tylko bądź pogodny, mów o pięknej przyszłości, jak ją kochasz, co was czeka.

Quinn pokiwał głową i z trudem przełknął łzy. Potem uśmiechnął się.

- Jeszcze raz serdeczne dzięki, Lauro... Ale zaraz, przyjechałaś tu sama na tym wehikule? - Spojrzał na jej wózek.

- Jeśli pytasz, czy ktoś może mnie odwieźć na mój oddział, to tak, zgadzam się. - Roześmiała się. - Bo dla takiej kaleki to droga przez mękę.

- Poczekaj, zaraz wracam - powiedział, idąc w stronę pokoju pielęgniarek. - Wszystkiego się dowiem, a potem pobiegnę do Kerry. - Otworzył drzwi, zajrzał do środka. - Pani Laura Trayhern prosi, by odtransportować ją do jej pokoju.

Odwrócił się raz jeszcze i z ruchu jego ust odczytała, że za chwilę ktoś do niej wyjdzie. Potem pomachał jej ręką na pożegnanie i ruszył przed siebie.

Przemierzał niekończące się korytarze, mijając po drodze pielęgniarki, sanitariuszy, lekarzy, chorych siedzących na twardej, czerwonych krzesłach lub leżących na leżankach. Miał wrażenie, że wszyscy są podenerwowani, że się dokądś spieszą, że każdy ma coś pilnego do załatwienia. Napięta atmosfera udzieliła się również jemu. Znow zaczęły pocić mu się ręce, a serce walić jak młotem. Jakże był wdzięczny Laurze, że choć na krótką chwilę ukoła jego ból.

Zdawało mu się, że przeszedł wszystkie możliwe korytarze tego szpitala, gdy wreszcie zobaczył dużą tablicę obwieszczającą, że znalazł się na oddziale intensywnej terapii.

Pchnął wahadłowe drzwi i rozejrzał się dokoła. Na oddziale panowała bezwzględna cisza i dopiero gdy się dobrze wsłuchał, do jego uszu dotarł poszum respiratorów i innych urządzeń ratujących ludzkie życie. Po plecach przebiegł mu lodowaty dreszcz.

- Słucham pana? - usłyszał tuż przed sobą.

Zmrużył na chwilę oczy i nieprzytomnie spojrzął przed siebie.

- Przyszedł pan się z kimś zobaczyć? - zapytała drobna, niewysoka pielęgniarka w średnim wieku.

- Tak, tak, z panią... przepraszam, z szeryf Kerry Chelton. Niedawno ją tu przywieziono.

Pielęgniarka podeszła do biurka i zerknęła w papiery.

- Zgadza się, pan jest narzeczonym pani Chelton?

- Tak - kiwnął głową. Trudno, czasem trzeba było kłamać. Właściwie w głębi duszy czuł się narzeczonym Kerry, chociaż jeszcze tego z nią nie uzgodnił.

- Jest w czwórce. Proszę iść w dół korytarzem, drugie drzwi po prawej stronie. Ma pan pięć minut na odwiedzinę.

- Wiem, wiem... mówiono mi o tym.

- Zatem proszę. - Pielęgniarka zniknęła za drzwiami pokoju służbowego.

Oddział był niewielki, raptem cztery sale, każda z nich przestronna, z przeszklonymi ścianami, żeby pacjenci cały czas byli pod okiem personelu medycznego.

Podszedł do wskazanych drzwi i zobaczył ją, swoją Kerry. Leżała sztywno, bez ruchu, podłączona do niezliczonej ilości kabli i rurek.

Nabrał głęboko powietrza i wszedł do środka. Wewnątrz panował niezwykle intensywny zapach środków odkażających. Poczł mdłości, nigdy nie lubił szpitali. Spojrzł na Kerry i podszedł do niej bliżej. Leżała pośród tych skomplikowanych urządzeń, których zadaniem było podtrzymywanie życiowych funkcji organizmu, taka blada i mizerna, taka obojętna na wszystko...

Ugięły się pod nim kolana. W oczach poczuł piekące łzy. Zerknął na ekran, na którym przeskakiwał maleńki, świetlny punkt, kreśląc linię jej życia.

- Boże, więc żyjesz - wyszeptał, otaczając jej chłodną dłoń swoją silną, ciepłą ręką. - Dzięki Bogu, kochana, dzięki Bogu! Tak strasznie się o ciebie boję - szepnął jeszcze i musiał na chwilę umilknąć, żeby przełknąć łzy, które napływały mu do oczu.

Spojrzał na nią raz jeszcze i przez chwilę się zawahał. Trudno było ją poznać. Całą głowę miała obandażowaną, do tego gruby opatrunek w okolicy skroni.

- Kerry? Słyszysz mnie? - pozbierał się po chwili.

- Kerry, to ja, Quinn, jestem tu z tobą, zobaczysz, to wszystko kiedyś się skończy i jeszcze będziemy ze sobą szczęśliwi.

Pogładził jej blady policzek. Był ciepły. Ale na jej twarzy nie dostrzegł żadnej reakcji. Tylko ten skaczący punkcik na monitorze mówił mu, że Kerry żyje, że może go słyszy.

- Kochanie, lekarze musieli wprowadzić cię w stan śpiączki, bo potrzebujesz trochę czasu, by do siebie dojść, potrzebny ci całkowity spokój. Wiesz, dostałaś postrzał w głowę, ale na szczęście twój mózg nic na tym nie ucierpiał, mały odprysk kości, to wszystko, więc będzie dobrze, kochanie, wyzdrowiejesz, zobaczysz. Jeszcze będziemy opowiadać o tej przygodzie naszym dzieciom...

Zauważył, że po stronie spodziewanego obrzęku obłożono głowę Kerry suchym lodem. Podawano jej również sterydy. Zamknął na moment oczy i poczuł silny zawrót głowy. Tak, to nie było łatwe, tak stać i mówić

do niej, gdy ona leżała nieruchomo jak lalka, bez żadnej reakcji na jego słowa.

A jeśli lekarze się mylili, jeżeli ona z tego nigdy nie wyjdzie?

Przecież mogło wydarzyć się wszystko, choćby skrzep, zator czy jakieś inne świństwo... i wtedy nastąpi koniec, nigdy już nie spojrzysz jej w oczy.

Pochylił się i dotknął leciutko ustami jej chłodnych warg.

- Kerry, kocham cię, moje ty Słoneczko, i nie pytaj mnie, kiedy i jak to się stało. Ten wypadek mi to uświadomił i wiem, że nie mogę i nie chcę bez ciebie żyć. Cały czas jestem przy tobie myślami, pamiętaj o tym, kochana. A teraz śpij, musisz wypocząć i nabrać sił, więc śpij, bo potem czekają cię trudne zadania. Przyjdę do ciebie jutro. Śnij coś miłego, kochana, i pamiętaj, że musisz żyć, bo bez ciebie już nigdy nic nie będzie piękne.

***25 stycznia, godzina 14.00***

Z czarnej, przepastnej czeluści, w której, jak jej się zdawało, była cała wieczność, zaczęły wyłaniać się jakieś bliżej nieokreślone kształty i kolory. W głowie miała potworny mętlik i szum. Dochodziły ją jakieś obce, drażniące dźwięki, których w żaden sposób nie potrafiła zidentyfikować. Było to bardzo nieprzyjemne, i gdyby nie to ciepło, które otaczało jej dłoń i dawało poczucie bezpieczeństwa, chciałaby uciec stąd jak najdalej, może nawet z powrotem, skąd przyszła.

- Odzyskuje przytomność - powiedziała doktor Edmonds, uśmiechając się do Quinna, który siedział przy łóżku i trzymał Kerry za rękę. - To dobry znak - dodała, osłuchując jej klatkę piersiową.

Siedem długich dni była nieprzytomna, a on musiał wrócić do strefy piątej. Pozwolenie od Morgana na powrót dostał dopiero dzisiaj, to znaczy



w dniu, w którym doktor Edmonds zamierzała wybudzić Kerry ze śpiączki. Obrzęk mózgu zdecydowanie się zmniejszył, a rokowania wydawały się być coraz lepsze.

- Wygląda na to, że jest stabilna - dodała lekarka. - Aparatura nie kłamie, więc, jak sądzę, na razie możemy być spokojni. Zostawimy pana na jakiś czas sam na sam z szeryf Chelton. Gdyby pojawiły się jakieś problemy, jesteśmy obok, poza tym pielęgniarka będzie się tu kręcić.

- Bardzo dziękuję, pani doktor, dziękuję serdecznie za wszystko.

Doktor Edmonds uśmiechnęła się życzliwie.

- Cała przyjemność po mojej stronie, to moja praca, którą bardzo, ale to bardzo lubię - powiedziała i zabawnym ruchem głowy odrzuciła do tyłu grzywkę, która opadała jej bezustannie na czoło. - Proszę teraz z nią porozmawiać, potrzebuje tego.

Quinn odwrócił się do Kerry i na jego twarzy pojawił się promienny uśmiech. Kerry oddychała samodzielnie, bez pomocy maszyn i prawie wszystkie rurki usunięto jej z ust i nosa. Została tylko kroplówka, która, jak wyraziła się doktor Edmonds, na razie była niezbędna.

- Słonko moje, Kerry, jak to dobrze, że już jesteś przy mnie...

Zaraz, zaraz, przecież skądś znała ten głos, słyszała go już wiele razy. W głowie Kerry wciąż jeszcze panował spory mętlik, ale już po krótkiej chwili przypomniała sobie, do kogo należał.

To Quinn! Więc był tutaj Quinn, był blisko, bardzo blisko niej, jego słowa rozbrzmiewały tuż koło jej ucha, czuła ciepło bijące od niego.

Kąciki ust Kerry uniosły się ku górze i na jej twarzy pojawił się lekki uśmiech. Quinn poczuł, jak wypełnia go nieopisana radość. Przysunął się jeszcze kawałeczek i pocałował ją, tak, pocałował ją. Jakże bardzo mu jej

brakowało. Cały czas myślał o niej, ale teraz dopiero, kiedy jej dotknął, kiedy siedział tak blisko niej, dotarło to do niego z całą siłą.

- Tak, Słoneczko, to ja, Quinn, siedzę obok ciebie. Tak bardzo mi cię brakowało przez ostatnie dni, nawet nie masz pojęcia, ale byłem niedaleko, bo w twojej strefie. Słyszysz? Byłem w twojej strefie i przywiozłem ci mnóstwo najlepszych życzeń, setki kartek. Jak się już obudzisz na dobre, to ci je przeczytam. Tym ludziom naprawdę na tobie zależy, naprawdę cię kochają, tak jak ja... - Zawiesił na chwilę głos. - Morgan każdego dnia przysyłał mi o tobie informacje. Aż nie do wiary, ilu ludzi martwi się o ciebie i modli za twój powrót do zdrowia... - Coś ścisnęło go za gardło. - Szczególnie zaś ja - dodał po chwili i mocniej uścisnął jej dłoń.

Słyszała go, słyszała każde wypowiedane przez niego słowo, i ten dotyk jego gorących ust... to najcudowniejsze uczucie, jakiego kiedykolwiek doznała. On ją kochał, naprawdę kochał, co do tego nie miała żadnych wątpliwości. Nawet nie marzyła, że po latach smutku i samotności coś takiego jej się jeszcze przytrafi. Zapragnęła zobaczyć jego kochaną twarz, te jego cudowne oczy, które miały tyle wyrazu. Całą swoją uwagę skoncentrowała na powiekach, chcąc za wszelką cenę otworzyć oczy.

Zamrugła nieznacznie raz, potem drugi i trzeci, i po chwili udało się jej unieść powieki do góry. Ależ to był wysiłek, nigdy by się tego nie spodziewała. Z pokoju powoli zaczęły wyłaniać się znane jej dobrze kształty: lampy sufitowe, zegar na ścianie, ale i jakaś skomplikowana medyczna aparatura. Lecz przede wszystkim ujrzała czułe, głębokie,

niebieskie oczy, które z wyczekiwaniem i zaniepokojeniem bacznie się jej przyglądały.

Quinn nachylił się bliżej i delikatnie pocałował ją w czoło.

- Witaj, kochanie, witaj! Jak dobrze cię znowu widzieć, Słoneczko - szepnął.

Jej serce wypełniła nieopisana radość. Najchętniej wyciągnęłaby do niego ramiona i przytuliła go mocno, ale nie miała siły poruszyć choćby palcem. Uśmiechnęła się więc raz jeszcze.

- Cześć - wyszeptała z trudem. - Czy ja pana znam, sierżancie Grayson?

- Kerry, moja najdroższa, mówisz do mnie! I nawet żartujesz. Boże, więc wszystko będzie dobrze. Kerry, tak bardzo się cieszę. Taki jestem szczęśliwy!

- Ja też - powiedziała cicho i zamknęła oczy. - Cudownie, że tu jesteś. - Tylko ona wiedziała, ile trudu kosztowały ją te słowa.

- Chce mi się krzyczeć na całe gardło, krzyczeć ze szczęścia - szeptała. - Kerry, chciałbym obwieścić całemu światu, że znowu jesteś z nami. Och, Kerry... -Przycisnął delikatnie jej dłoń do ust i gorąco pocałował. - Jestem taki szczęśliwy.

Ten pocałunek podziałał jak balsam, poczuła się jak w niebie. Zdołała jednak tylko lekko poruszyć palcami dłoni.

Quinn patrzył na pierwsze oznaki życia z takim zachwytem, jakby schwytał za nogi samego pana Boga.

- Nie martw się, kochanie, z każdą godziną będziesz nabierała sił. Będę tu przy tobie, nie opuszczę cię ani na chwilę, nawet czołgiem mnie od ciebie nie odciągną. Spałaś kilka dni i teraz przestają działać środki.

Możesz więc czuć się jeszcze ociężała i niezbyt przytomna, ale to minie, kochanie, to minie.

Kerry zamrugła i na moment otworzyła ponownie oczy. Chciała coś powiedzieć, ale długo musiała ze sobą walczyć, nim jej się to udało.

- A co z tobą, jak się masz? - wyszeptała wreszcie.

- Nic mi nie jest, nawet mnie nie drasnęli, choć przysięgam, że wolałbym tu leżeć zamiast ciebie. Dwa razy dostałaś od tych bandytów, ale gorszy jest ten postrzał w skroń. Może cię boleć głowa, tak powiedziała doktor Edmonds.

Taka była szczęśliwa, że może spojrzeć mu w oczy. Widziała w nich troskę i skrajne zmęczenie.

- O tak - szepnęła - głowa boli mnie jak diabli. - Jakie to szczęście, że nic mu się nie stało, pomyślała z ulgą.

- Jeżeli chcesz, pójdę po pielęgniarkę, żeby dała ci jakiś środek przeciwbólowy.

Już miał wstać, ale jej palce zacisnęły się na jego dłoni.

- Kochanie, nie zostawię cię tutaj, nie martw się, to tuż obok - szeptał przejęty.

Wstał z krzesła i pochylił się nad nią, by ją pocałować. Wtedy dopiero dostrzegł, że w kącikach jej oczu pojawiły się łzy. Ucałował najpierw jedno z nich, potem drugie i delikatnie obtarł ręką łzy.

- Nie - szepnęła, jakby sparaliżowana panicznym strachem. - Nie odchodź!

- Nie odchodzę, Słonko, nie... Oczywiście, że nie.

- Ja... - zaczęła, ale nie mogła powstrzymać łez.

Teraz toczyły się jedna za drugą, omywając umęczoną twarz.

- Czy to ten ból głowy? Tak bardzo cię boli? - Czuł, jak zaczyna ogarniać go panika.

- Ja nie mogę... - szeptała jak w malignie, urywając słowa. - Nie mogę... straciłam Lee... nie mogę, Quinn, nie mogę stracić ciebie.

RS

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

*28 stycznia, godzina 9.00*

Niemal na palcach Quinn wśliznął się do sali, w której leżała Kerry. Był to najlepszy w całym szpitalu pokój prywatny z wszelkimi wygodami. Przenieśli ją tu stosunkowo szybko, biorąc pod uwagę jej ciężki stan, ale potrzebne było miejsce na intensywnej terapii. Wszystkich zadziwiało jednak, jak prędko wracała do zdrowia.

Dopiero co świtało i słońce ledwo przebierało przez chmury, rzucając nieśmiało, prawie niewidoczne cienie na białe, szpitalne ściany.

- Witaj, kochanie - powiedział Quinn. Kerry siedziała wsparta o poduszki i próbowała przełknąć co nieco z podanego przez salową śniadania. Był przekonany, że zastanie ją pogrążoną we śnie. - Widzę, że już nie śpisz, a szkoda, powinnaś jak najwięcej wypoczywać, a sen to najlepszy lekarz.

- Cześć - uśmiechnęła się blado. - Próbuję coś zjeść, ale po intubacji wcale nie jest mi łatwo, strasznie mam obolałe gardło. Ale co tam, chodź do mnie, tak się cieszę, że cię widzę...

Odkąd wszedł do środka, pokój zmienił się nie do poznania, w jednej chwili zrobił się jaśniejszy, przestronniejszy i bardziej przyjazny. Czują, jak z każdą chwilą wypełniają coraz większe szczęście. Co by zrobiła bez Quinna, jak wyglądałoby jej życie, jaki miałyby sens?

- Moje biedactwo! Ale na pocieszenie powiem ci, że wyglądasz już dużo, dużo lepiej.

- To dzięki temu, że mnie odwiedzasz.

- Pomogę ci trochę w tym śniadaniu, dobrze? Jak wiesz, jestem stara kwoka i umiem opiekować się pisklętami... takimi trochę podrośniętymi też. Zobacz, kaszka manna nie drapie w gardło, więc łatwo ją przełkniesz. Musisz coś jeść, bo tak zmizerniałaś, że można ci policzyć kości.

Ale dla niego i tak była najpiękniejsza pod słońcem.

Kerry dobrze wiedziała, że marnie wygląda. Koszula nocna po prostu na niej wisiała, a włosy ukryte były pod opatrunkiem. I pomyśleć tylko, że jeszcze niedawno była dobrze wyglądającą, i jak wielu twierdziło, atrakcyjną kobietą. Wprost nie do wiary...

- A zjesz ze mną? Będzie mi raźniej - powiedziała, podając mu kromkę chleba.

Dochodziła ósma. Quinn był na nogach od dwóch godzin. Wziął długi prysznic, ogolił się i włożył nowy mundur. Był z niego dumny, choć okoliczności spowodowały, że nie mógł się nim zbytnio cieszyć. Odczuwał jednak swoistą satysfakcję, kiedy go wkładał. Nie jadł jeszcze śniadania, bo nie miał ochoty, napił się tylko kawy. Chciał jak najszybciej znaleźć się przy Kerry. Teraz wziął więc kanapkę i uśmiechnął się szeroko.

- Tak bardzo lubię jeść w twoim towarzystwie. No, to do dzieła. Ja kęs, ty łyżkę.

Widział, że zrobiło jej się miło i powoli, choć niezbyt chętnie, uniosła łyżkę z kaszką do ust. Zastanawiał się, czy pamiętała swoje słowa, które wypowiedziała, gdy po raz pierwszy otworzyła oczy. Że boi się go stracić, jak Lee, swojego męża...

Czyżby myślała o nim tak ciepło jak o zmarłym mężu, czy miał prawo wierzyć, że darzy go uczuciem? Wolał się na razie w to zbyt nie



zagłębiać, była przecież półprzytomna i nierozsądnie byłoby wyciągać z jej słów jakieś pochopne wnioski.

Ale cóż, te słowa, mimo że znali się z Kerry zaledwie kilka dni, znaczyły dla niego tak wiele. Pragnął jej... kochał ją.

Kerry, czując na sobie jego baczny wzrok, uniosła głowę. Boże, jaki Quinn był cudowny, gdy patrzył na nią z takim pożądaniem. Tak bardzo brakowało jej tego, odkąd zginął Lee. Serce zaczęło jej szybciej bić, lecz zaraz przypomniała sobie, że leży w szpitalu, jest ledwo żywa i potwornie boli ją głowa. Nie chciała się nawet zastanawiać nad tym, jak wygląda. Po prostu okropnie, nie było innej możliwości. A więc spokojnie, pomyślała, muszę poczekać, aż stąd wyjdę. Przymrużyła oczy i zmarszczyła czoło.

- Coś nie tak? - podchwycił natychmiast Quinn.

- Nie, po prostu okropnie boli mnie głowa. Czasem udaje mi się o tym na chwilę zapomnieć, ale niestety nie na długo.

- Może pójde po siostrę? - zapytał z przejęciem. -Może potrzebny ci jakiś proszek?

- Nie, nie, to nachodzi falami, zwłaszcza gdy serce zaczyna mi szybciej bić. Wygląda na to, że będę musiała przejść na wcześniejszą emeryturę.

- Nie martw się, podobno na początku to całkiem normalne. Jesteś przecież dopiero co po operacji i potrzebujesz spokoju. Kiedy kość się zrośnie, poczujesz się znacznie lepiej. Teraz nawet najmniejszy wzrost ciśnienia daje ci się boleśnie we znaki. Boję się, że to moja wina, że zakłócam twój spokój...

Czy to możliwe, żeby czuła to, co on? Nie był o tym do końca przekonany, ale nie chciał jej o to pytać, bo z pewnością wywołałby kolejną falę niepokoju.

Pokiwała lekko głową, ale minę miała dosyć posepną. Odstawiła na bok tacę i spojrzała na niego.

- Wiesz, bardzo się martwię o Petulę. Miałeś o niej jakieś wiadomości?

- Tak, nie martw się, ona i Sylwia czują się dobrze i tęsknią za tobą. Moi ludzie czuwają, by dostawały regularnie racje żywnościowe. Wszystko jest w porządku, naprawdę nie musisz się zamartwiać. Mieszkają oczywiście w namiocie, więc jest im ciepło i są zadowolone. - Uśmiechnął się, widząc jak miejsce niepokoju w jej oczach zajmuje ulga i odprężenie, a jej twarz rozchmurza się i łagodnieją rysy.

- To dobrze - westchnęła. - To naprawdę dobre wiadomości. A co jest z Diabolo? Nadal grasują w strefie?

- Ostatnio nie było żadnych napadów, więc nie jest wykluczone, że się wycofali. Jednak sytuacja nadal jest trudna, szerzą się choroby. Musimy jak najprędzej temu zaradzić, bo inaczej nie unikniemy epidemii. Już podjęte zostały odpowiednie kroki - dodał na zakończenie, ale jego twarz wciąż jeszcze była napięta.

- A więc tak to wygląda... - Zafrasowała się. - Wybierasz się tam? - zapytała i jej palce opłotły jego nadgarstek. W oczach miała przerażenie.

A więc nie chce, żebym ją zostawiał. Będzie tęsknić, czy po prostu boi się zostać sama? Nie znał odpowiedzi na to pytanie. Ona pewnie też jej nie znała.

- Jeszcze nie wiem. Wczoraj usiłowałem zidentyfikować tych członków Diabolo, na których się natknęliśmy. Jeden z nich przeżył i jest w tym szpitalu. Nie, nie obawiaj się, pilnują go dzień i noc, na pewno nie ucieknie. Zresztą nie byłby w stanie... Niestety nie miał przy sobie żadnych dokumentów i odmawia wszelkich rozmów. Tak to wygląda.

- Boże, on jest tutaj, w szpitalu? - powtórzyła z przerażeniem Kerry.

- Ale nic się nie bój, nie ma szans nawet palcem kiwnąć, żeby nie zauważył tego strażnik. Naprawdę dobrze go pilnują i tylko czekają, żeby zrobił coś głupiego...

Wiedziała, w czym rzecz. Zginąłby podczas próby ucieczki... Każdy powinien mieć uczciwy proces, ale...

- To byłoby morderstwo - szepnęła.

- Ludzie są wściekli. Te bydlaki żerują na cudzym nieszczęściu - powiedział twardo. - Jeśli ten drań nie zacznie mówić, nie przekaze istotnych informacji, wreszcie ktoś go załatwi.

- Okropne... - powiedziała.

Quinn tak nie uważał. Gdyby miał tylko sposobność, sam rozprawiłby się z bandziorem. Rozumiał reakcję Kerry, ale jej nie podzielał. Tak się składało, że jako żołnierz brał udział w wielu akcjach wymierzonych przeciwko najgorszym łajdakom i wiedział, że są ludzie, którzy z uwagi na swe uczynki po prostu nie mają prawa żyć na tej ziemi.

Wprawdzie sumienie mówiło mu, że to zbytnie uproszczenie, że każdy powinien mieć prawo do uczciwego procesu, że nie wolno być samozwańczym sędzią, i dlatego nigdy nie dopuścił się takiego czynu, lecz teraz nie ręczył za siebie. Przecież ten drań strzelał do Kerry!

- Quinn..

- Słucham, kochanie?

- Obiecuj...

Wiedział, o co go prosiła. Że nie dopuści się samosądu. Jak łatwo go przejrzała...

Nie potrafił jej niczego odmówić.

- Dobrze, obiecuję - powiedział niechętnie. Pocieszał się tym, że ten łajdak albo do końca życia

będzie siedział w więzieniu, albo skończy na krześle elektrycznym.

- Ale to straszne, że go tu trzymają. - Mocniej zacisnęła palce na jego ręce. - Dobrze, że ze mną jesteś. Chwilami czuję się taka słaba i bezradna, taka roztrzęsiona, myśli mi się mieszają.

- To normalne, przeżyłaś poważny postrzał i długą, trudną operację, kochanie. I tak jesteś w świetnej formie jak na tyle przygód, maleńka. Nawet nie wiesz, jaki jestem szczęśliwy, że wyszłaś z tego cało. Pomogę ci, na ile będę potrafił. Dobrze, Słoneczko? - szepnął i pogładził ją po ręce.

- Tak - zdołała jeszcze odpowiedzieć. Potem głos jej się załamał i po policzkach Kerry potoczyły się łzy. Po chwili wszystko zamazało jej się przed oczami i nie widziała już twarzy Quinna. Czowała jednak jego obecność, no i jego rękę nieprzerwanie głaszczącą ją po dłoni. - Wiesz, kiedy zginął Lee, poczułam się, jakby ktoś usunął mi ziemię spod nóg. A kiedy powiedzieli mi, że straciłam dziecko, poczułam się kompletnie samotna i obca na tym świecie. Pomogli mi dobrzy ludzie, przyjaciele i znajomi, zatraciłam się w pracy, ale to straszne poczucie samotności towarzyszyło mi cały czas. - Przymknęła na chwilę oczy. - Lecz od kiedy pojawiłeś się ty, znowu czuję, że stąkam po twardym gruncie; czuję się

bezpieczna i pewna siebie, wiem, że nie jestem sama. Przepraszam cię, trochę się rozkleiłam.

- Już dobrze, wszystko będzie dobrze, zobaczysz, chociaż sędzę, że zajmie ci sporo czasu, nim dojdiesz do normalnej formy.

- Czy to nie straszne, że gdyby nie ta makabryczna historia, nie poznałabym ciebie? A tak, wszedłeś w moje życie i wszystko się zmieniło. Bardzo mi pomogłeś, Quinn. Nigdy bym nie przypuszczała, że żołnierz piechoty morskiej może mieć w sobie tyle delikatności i wrażliwości. Tym właśnie mnie ująłeś, jak i tym, że masz tyle życzliwości dla innych ludzi... Wyznam ci coś, teraz już mogę. Kiedy dowiedziałam się od Morgana, że macie przylecieć do mojej strefy, byłam przerażona. Bałam się, że będziecie bandą męskich szowinistów, że bezpardonowo będziecie łamać prawo i się szarogęsić, nie mając pojęcia o sytuacji.

- Przyznam szczerze, że i ja się obawiałem - wyznał Quinn. - Nigdy przedtem nie współpracowałem z kobietami. Sama rozumiesz, jestem żołnierzem do zadań specjalnych. Przerazało mnie że będziesz moim jedynym partnerem, ale gdy zobaczyłem, jak zwracają się do ciebie ludzie, jak cię szanują i cenią, zaraz zmieniłem podejście. Jesteś wspaniała i dzielna. - Dostrzegł nikły uśmiech na jej twarzy. - Posłuchaj, maleńka, musisz odpocząć - powiedział ciepło, ale wiedziała, że to propozycja nie do odrzucenia. Wstał niechętnie, ociągając się, i cmoknął ją w wierzch dłoni. - Tak, musisz dużo spać, żeby dojść do siebie. Jesteś zmęczona, więc przytul się do poduszki i lulu, dobrze?

- Naprawdę jestem śpiąca - powiedziała, opadając na poduszkę. - Chyba faktycznie trochę się prześpię.

- I niech ci się przyśni coś miłego. - Cmoknął ją w czoło, jak małe dziecko, które układa się do snu.

Jeszcze na moment otworzyła oczy i na chwilę zatopiła się w błękicie jego spojrzenia.

- Przy tobie czuję się taka bezpieczna... i szczęśliwa.

- To dobrze, kochanie, śpij smacznie, a ja wrócę do ciebie po południu. Teraz muszę pędzić na spotkanie z Morganem.

- Dobrze, tylko przyjdź na pewno. Twój dotyk mnie leczy, do zobaczenia... - powiedziała sennie i zamknęła oczy.

### ***28 stycznia, godzina 21.00***

Kerry od jakiegoś czasu nie odrywała oczu od ściennego zegara. Wokół było cicho i ciemno, ni żywego ducha. Obok, na nocnym stoliku, stała nietknięta kolacja, którą trzy godziny temu przyniosła jej salowa. Ale gdzie jej tam było jedzenie w głowie? Quinn przepadł gdzieś bez wieści. Dlaczego nie przyszedł do niej, jak to obiecał? Co jakiś czas odrywała oczy od zegara, by spojrzeć na drzwi i wreszcie za którymś razem faktycznie rozległo się cichutkie pukanie.

-Quinn? To ty?

Wszedł do środka i uśmiechnął się do niej szeroko. Był bardzo zmęczony, od razu to zauważyła.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział i zdjął czapkę. - Ale wszystko się pokomplikowało...

Dostrzegł zaniepokojenie w jej oczach, choć próbowała to ukryć.

- Jak dobrze cię znowu zobaczyć. Stało się coś złego?

- Nie, ale w bazie jest masa roboty, ludzie pracują po dwadzieścia pięć godzin na dobę. - Spojrzał na stolik nocny. - A to co, nawet nie ruszyłaś jedzenia? Co to ma znaczyć?

- Nie mogłam niczego przełknąć.

- No, no - pogroził jej palcem. Potem podszedł bliżej, wyciągnął z kieszeni paczkę witaminizowanych żelek i otworzył je. - Musiałem niespodziewanie polecieć do strefy piątej - powiedział w końcu. - O trzeciej, i nie miałem jak cię powiadomić. - Gdy wyciągnęła dłoń po słodycze, powiedział z groźną miną: - Dostaniesz żelki, jak zjesz kanapkę. - Wiedział, że za nimi przepada.

- Ale ja nie jestem głodna, nie przełknę tego. Ty zjedz.

- Umieram z głodu, zjadłbym teraz konia z kopytami, ale nie mogę rekonwalescentce odbierać cennego pożywienia.

- Możesz, możesz, po co miałyby się zmarnować.

- No dobra - odrzekł, wgrzyzając się ze smakiem w kanapkę. -

Opowiem ci, co się dziś wydarzyło. - Nalał jej soku pomarańczowego do szklanki, a pozostałą część wypił jednym tchem z butelki. - Trochę mi lepiej. Słuchaj więc. Krótco przed trzecią Morgan poprosił mnie, żebym polecał do strefy. Z pracy mojej drużyny jest wprawdzie zadowolony, mają też nowego, tymczasowego dowódcę, ale chciał, bym rzucił na to wszystko okiem i dokonał oceny sytuacji. Jutro polecą do strefy lekarze i musiał znać faktyczny stan rzeczy, a jak powiedział, do mnie ma całkowite zaufanie. Niestety to, co tam zastałem, przeraziło mnie. Wygląda na to, że na dobre rozpanoszyły się choroby zakaźne, no wiesz, dyzenteria, tyfus... po prostu makabra. Sytuacja naprawdę jest krytyczna, a do tego za mało lekarzy, za mało leków, w ogóle wszystkiego za mało. Dziwi mnie, że tak



bogate państwo nie potrafi opanować sytuacji po trzęsieniu ziemi. Ciekawe, jak radzą sobie z tym biedne kraje, gdzie takie kataklizmy zdarzają się dosyć często. Coś tu jest nie tak, stanowczo nie tak... Ludzie piją skażoną wodę, jedzą zepsute pożywienie, bo nic innego nie mają do dyspozycji. Nic dziwnego, że w takiej sytuacji szerzą się choroby.

- O Boże - westchnęła ciężko Kerry. - A co z małą i Sylwią? Jak one się czują?

- Nie martw się, mają się wyjątkowo dobrze. Od razu po wylądowaniu odwiedziłem zielony namiot. Naturalnie pytały o ciebie i prosiły, żeby cię ucałować i uścisnąć, a Petula się popłakała. Ale nie martw się - dodał natychmiast - jak się dowiedziała, że odzyskałaś przytomność i że wszystko jest w porządku, ucieszyła się ogromnie, a potem znów się rozplakała, ale tym razem z radości.

- To świetnie - odetchnęła z ulgą Kerry.

- W ogóle strasznie cię tam kochają, aż jestem zazdrosny. - Spojrzał na nią spod oka. - Nie było osoby, która by o ciebie nie zapytała, a każdy prosił, żeby cię pozdrowić. Brakuje im ciebie...

- Też mi ich brakuje. Przez tę całą tragedię staliśmy się sobie bliscy, jak rodzina. - Upiła łyk soku ze szklanki i wzięła od Quinna pół kanapki z indykiem, którą wciskał jej do ręki.

- Jedz, bądź grzeczną dziewczynką - nalegał. - Nie natknąłem się za to na Diabolo i to jest dobra nowina. Jak sądzę, trochę im napędziliśmy stracha. Myślę, że przenieśli się do innej strefy, więc problem nadal istnieje... A może się ukrywają, by po jakimś czasie znowu uderzyć?

Kerry odgryzła kawałek kanapki z indykiem i z zadziwieniem stwierdziła, że od dawna już nie była taka głodna. Uznała, że przypływ

apetytu jest zasługą Quinna. Czowała się przy nim komfortowo, jakby płała się w ciepłych promieniach słońca. Na jego widok jej serce przyspieszało biegu i chciało jej się żyć, mimo upiornego bólu głowy, który zakłócał tę idyllę. Wiedziała, że tak wygląda szczęście; zaznała go przecież w swym życiu.

- No jasne - pokiwała głową, zjadając z apetytem kanapkę.

Jak można było jej nie kochać? Była taka piękna, ciepła, dobra i mądra... Jej oczy znowu nabierały tego blasku, który go olśnił od pierwszej chwili, a jej blada, delikatna twarz wyglądała coraz zdrowiej.

- Morgan chce odszukać tych ludzi, choć trudno nazywać ich ludźmi. Powstał nowy plan i Morgan chce powierzyć mi jego realizację.

- Czy to znaczy, że dostaniesz nowy oddział? - Zmarszczyła brwi.

- Nie, nie bój się, na razie dostałem przydział do strefy piątej jako oficer logistyki. A więc nie wymkniesz mi się tak łatwo... - dodał i spojrzał na nią jakoś tak, że po plecach przeszedł jej słodki dreszcz.

Wszyscy wiedzieli, że Kerry chce jak najszybciej powrócić do pracy w swojej strefie i że nic i nikt jej od tego nie odwiedzie. Zrozumiała to też doktor Edmonds i obiecała, że wyda taką zgodę, ale dopiero wtedy, gdy rana na głowie całkowicie się zagoi.

- Oficer? - spojrzała na niego zaskoczona. - Gratuluję, cieszę się, panie poruczniku, że znowu będziemy współpracować. Byłam taka nieprzytomna, że nie zauważyłam twoich nowych epoletów!

- Dostałem awans - wyjaśnił Quinn z uśmiechem. - Byłem oszołomiony, bo niedawno zostałem sierżantem, a tu nagle przeskoczyłem do kadry oficerskiej... Zdarza się to naprawdę rzadko i z zasady w warunkach bojowych.

- Jeszcze raz gratuluję. - Poglądziła jego rękę. -

Tak bardzo chciałabym cię uścisnąć. Zapracowałeś sobie na awans, jesteś prawdziwym skarbem...

- To ty jesteś skarbem i to tobie należy się ten awans! Zbudowałaś wszystko własnymi rękami. Bez ciebie nic by nie było możliwe, wierz mi.

- Uniósł jej dłoń do ust i mocno ją ucałował. - Teraz tylko pragnę, byś powróciła do sił. A więc musisz dużo jeść, spać i odpoczywać, a wszystko będzie dobrze. Cały świat może się rozpaść na kawałki, to mnie nie obchodzi, bo mam ciebie. Mamy siebie - poprawił się po chwili - mamy siebie! I to jest najwspanialsze odkrycie tego roku!

Ze wzruszenia nie mogła wydobyć z siebie słowa. Jej oczy zasnuły się mgłą i miała wrażenie, że za moment się rozplącze. Chciała, żeby czas stanął w miejscu, i żeby Quinn już nigdy nie wypuszczał ze swoich rąk jej dłoni, i żeby zawsze tak namiętnie przyciskał ją do swoich ust. Ale tak się nie stało, po chwili puścił jej dłoń i wręczył jej talerzyk z ciastem czekoladowym i widelczyk. Uśmiechnął się.

- Musisz jeść, nabrać sił, moje Słonko! Spojrzała na niego i wiedziała, że to jest ten człowiek, na którego czekała.

- Wiesz - zaczęła poważnie - wydaje mi się, że musimy porozmawiać...

- Też tak sędzę, bo... sprawy cokolwiek wymykają się nam spod kontroli, prawda?

- Yhm... - kiwnęła głową. - No właśnie, może nawet trochę bardziej niż cokolwiek.

- Trzydziestego będę znowu w bazie, co ty na to, czy odpowiada ci ten termin?

Uśmiechnęła się szeroko i odgryzła duży kawałek ciasta.

- Jasne - odparła z pełną buzią. - Bardzo mi odpowiada.

Ale czy on na pewno czuje to, co ona? Czy los nie spleta jej jakiegoś potężnego figla i nie okaże się, że z jego strony to tylko chwilowe zauroczenie? Z najwyższym trudem przełknęła ciasto i odstawiła talerz na bok. A więc przyjdzie jej czekać dwa długie dni, nim wyjaśni się ta sprawa. Wiedziała, że nie będzie to dla niej łatwy czas.

RS

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

*30 stycznia, godzina 16.00*

Quinn skierował swoje kroki w stronę przyszpitalnego parku. Dowiedział się od pielęgniarek, że od dwóch dni Kerry zapuszcza się tam na spacer. Wprawdzie jeszcze nie o własnych siłach, lecz na wózku, ale i tak był to duży postęp.

Jeździła do szklarni i spędzała w niej większość dnia. Do tej pory nawet nie wiedział, że coś takiego znajdowało się na terenie szpitala. Pomyślał, że to sprytny sposób, by wyciągnąć opieszłych pacjentów z łóżek. Serce wyrywało mu się z piersi, sam się nie spodziewał, że tak trudno będzie mu bez niej żyć. Czy go zechce, czy ucieszy się, gdy go zobaczy?

Po krótkich poszukiwaniach odnalazł budowlę pokaźnych rozmiarów, przez której przeszklone ściany widoczny był niekończący się gąszcz roślin. Otworzył zaparowane drzwi i przywitało go miłe, wilgotne ciepło, jakie czasem odczuwa się nad morzem. Szklarnia, wypełniona bezkresem tropikalnych roślin, wydała mu się naprawdę olbrzymia. Jakim cudem ma znaleźć Kerry wśród tego oceanu zieleni? Ruszył wąską alejką i jak mu się zdawało, obszedł wkoło dwa razy całe pomieszczenie, ale po Kerry nie było nawet śladu. Aż wreszcie jakiś wewnętrzny głos podpowiedział mu, żeby skręcił w lewo.

Postąpił jeszcze parę kroków i zobaczył ją. Siedziała na wózku i konewką podlewała chaszczę. Syzyfowa praca, przemknęło mu przez myśl. Wyglądała jednak cudownie i urzekająco; nie spodziewał się, że tak bez reszty opanuje jego myśli. Na głowie miała jedynie niewielki

opatrunek, spod którego spływały na ramiona piękne, puszyste, lśniące, ciemne włosy. Przypominała mu Indiankę, która zapamiętała pielęgnować swój ogród. Przecudny był to widok, aż ścisnęło mu się gardło.

Nie miała na sobie piżamy i szlafroka, lecz jasną, różową bluzkę, pięknie podkreślającą jej krągłe piersi i talię, które do tej pory skrzętnie ukrywała pod mundurem. Gdy wstała z miejsca, nie wiedząc, że Quinn znajduje się nieopodal, mógł do woli napatrzeć się na jej smukłe nogi opięte obcisłymi dżinsami. Czuł, że za chwilę zagotuje mu się krew.

- Ja też jestem spragniony - powiedział, podchodząc bliżej. - Dostanę trochę wody?

Kerry powoli odwróciła się w jego stronę.

- Quinn! - Na jej twarzy pojawił się promienny uśmiech, a serce wypełniło się wielką radością. Zakreśliło jej się w głowie, postawiła konewkę na ziemi.

Zbliżył się do niej, a jego oczy płonęły niezwykłym blaskiem. Pochłaniał ją wzrokiem.

- Witaj, piękna nieznajomo!

Pochylił się nad nią, a ona delikatnie dotknęła jego zarośniętego policzka. Jego mundur, twarz, ręce - wszystko było koloru ziemi. Wybrudzony był od stóp do głów. W jej oczach zalśniły łzy szczęścia.

Więc tęskniła za mną, pomyślał, nie miał już co do tego żadnych wątpliwości. Przycisnął ją do siebie, a potem czas jakiś gładził jej delikatne ramiona, szyję, plecy. Pragnął jej, pragnął jej całym sercem.

- Jak się masz, kochana?

- Teraz, kiedy jesteś przy mnie, wyśmienicie - powiedziała z uroczym uśmiechem. - Tak bardzo na ciebie czekałam... Dobrze, że już jesteś!

Wiedział, że jest brudny i przeпоcony, dlatego do tej pory powstrzymywał się, żeby jej nie dotknąć, nie ubrudzić, ale po tych słowach, nie chciał dłużej nad sobą panować. Coś w nim pękło, pragnął wziąć ją w ramiona i całować; całować i pieścić bez końca. Tak wiele dla niego znaczyła.

Wyprostował się, zdjął czapkę i wsunął ją do kieszeni.

- Cudownie wyglądasz, Słonko... - powiedział oczarowany.

- Dziękuję. - Czuła się trochę onieśmielona, więc na wszelki wypadek poprosiła, by usiadł na chwilę, bo musi podlać jeszcze kilka roślin.

Westchnął ciężko i usiadł po turecku na dużym kamieniu. Pożerał ją wzrokiem. Czemu nie rzucił się jeszcze na nią i nie wpił się w jej cudowne usta? Jednak zamiast tego powiedział:

- Przepraszam, ale nie mogłem być dzisiaj rano, jak obiecałem... - Zacisnął mocno dłonie i zagryzł dolną wargę.

- Wiem od Morgana, bo był u mnie przed południem, że gang Diabolo zaatakował ponownie i że dostałeś rozkaz pozostania w strefie aż do zażegnania niebezpieczeństwa.

Quinn przeczesał palcami swoje krótkie, ciemne włosy.

- Tak, zdążyliśmy na szczęście tam dotrzeć, zanim zdołali wyrządzić większe szkody.



- Są jakieś ofiary? Jacyś ranni? - Spojrzała mu z przerażeniem w oczy. Jak bardzo by chciała leżeć teraz obok niego i gładzić jego pięknie wyrzeźbione ciało. Przeszył ją dreszcz.

- Gdy zobaczyli nadciągające helikoptery, natychmiast wzięli nogi za pas. Ludzie byli przerażeni, ale nic nikomu się nie stało.

- A służby medyczne? Czy dotarły wreszcie na miejsce?

- Z tym jest największy problem. Sytuacja zmienia się jak w kalejdoskopie. Morgan stara się, jak może, znasz go przecież, nie odpuszcza, ale teraz nie to jest najważniejsze. Mimo nacisków z jego strony...

- Jak to? A co w takim razie jest najważniejsze?

- Była wściekła na impertynencką, nieczułą na ludzkie nieszczęścia władzę. - Co oni sobie wyobrażają? Poczekają jeszcze trochę, to wszyscy padną tam jak muchy. Słyszałam, że odnotowano już pierwsze przypadki cholery. Więc na co oni jeszcze czekają? Do diabła, przecież zamiast żeby było lepiej, jest coraz gorzej!

- To nie takie proste. Cały czas wysyłane są transporty z żywnością i wodą, bo głównie ze skażonej wody bierze się ta diabelska zaraza. Morgan robi, co może, ufam mu i wiem, że jeśli tylko zapadną odpowiednie decyzje, wyśle lekarzy. Chętnych jest pod dostatkiem, z tym nie ma problemu.

- To dobrze, że on tym wszystkim zawiaduje. Też mam do niego zaufanie, tylko nie pojmuję, jak można tyle czasu czekać, skoro tam umierają ludzie... Nie mogę przestać o tym wszystkim myśleć... choć chwilami bym chciała, wierz mi.

- Wiem, kochanie, ale na pocieszenie ci powiem, że twoja Pet nadal ma się doskonale.

Kerry odetchnęła z ulgą.

- Przynajmniej tyle... To rzeczywiście dobra wiadomość, chyba jedyna...

- Musimy porozmawiać, Słońce... - Quinn ujął jej dłoń w swoją umorusaną rękę. Czy to nie dziwne, że chyba słowa w całym swoim życiu będzie wypowiadał w tak nędznym stanie? Inaczej sobie to wyobrażał.

- Boję się rozmowy, boję się tego, co może przynieść i mnie, i tobie...

- Wiem, że powinienem przyjść tu czysty i pachnący, ale spieszyłem się do ciebie, chciałem się tu znaleźć jak najszybciej, by być wreszcie blisko ciebie.

Widziała na jego twarzy napięcie... i nieznacznie się uśmiechnęła.

- Więc mów, Quinn...

- Też się trochę boję, ale do odważnych świat należy. - Ucałował jej delikatną dłoń. - Cóż, w sprawach sercowych jestem tchórzem... ale nie mogę już z tym dłużej zwlekać.

Kerry otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Quinn uniósł do góry dłoń na znak, żeby zaczekała z tym chwilę.

- Przepraszam, poczekaj, jeśli możesz, pozwól, że zacznę pierwszy. - Wziął głęboki oddech i spojrzał na nią znacząco. - Wtedy, kiedy dostałaś postrzał w potyczce z Diabolo, kiedy zobaczyłem, jak przewracasz się na ziemię, coś we mnie pękło. Uświadomiłem sobie, że znaczysz dla mnie bardzo wiele, i że przed tym nie ucieknę, choć próbowałem, przyznam szczerze, że naprawdę próbowałem. Kiedy podbiegłem do ciebie, w

pierwszej chwili byłem przekonany, że nie żyjesz. Coś zaczęło we mnie wyc, ogarnęła mnie taka rozpacz. .. Nie, nie potrafię tego nawet opisać. Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić, na tę krótką chwilę straciłem sens życia. Bo niby po co miałbym żyć na świecie, na którym nie ma już ciebie? Dopiero wtedy pojąłem, że pewnych spraw nie wolno odwlekać, bo nigdy nie wiadomo, co się jeszcze wydarzy. Cóż, życie nas nie oszczędza i nieustannie płaata najdziwniejsze figle.

- Tak, Quinn, nigdy niczego nie możemy być pewni...

Pomyślała o zmarłym mężu i nienarodzonym dziecku. A jednak to nie bolało już tak bardzo. Na zawsze pozostanie w jej sercu okrutny ślad, ale cierpienie gdzieś odeszło.

Kerry była gotowa do nowego życia.

- Lubisz mnie, wiem o tym, Quinn. I ja ciebie lubię - powiedziała ostrożnie.

Zapadło milczenie. Długo patrzyli sobie w oczy.

Quinn pomyślał o Frannie, kobiecie, którą pokochał pierwszą miłością, a która cynicznie wykorzystwała go i porzuciła.

Ale myślał o tym spokojnie, bez goryczy, złości i bólu.

Był gotów do nowego życia.

By to jednak się stało, musiał wszystko powiedzieć, wyrzucić z siebie. Ta rozmowa zdecyduje o jego przyszłości, lecz jeśli stchórzy, jeśli się wycofa, nigdy już nie będzie takiej okazji.

A oto coś zasznurowało jego usta...

Frannie też była słodka i miła... do czasu...

Jak w ogóle może porównywać ze sobą te dwie kobiety!

Nie, nie pozwoli, by zła przeszłość decydowała o jego dalszym życiu. O jego szczęściu.

- Nie przybyłem do strefy, sądząc, że spotkam kobietę mego życia. Zresztą nie wierzyłem, że kiedykolwiek ją spotkam. Byłem po przykrym rozstaniu, zniechęcony do wszelkich związków... Chciałem robić karierę w wojsku, o prywatnym życiu nie myślałem. Prawdę mówiąc, bałem się kolejnego rozczarowania, kolejnej zdrady. Wiesz już, że kilka lat temu byłem zaręczony z pewną kobietą. - Delikatnie pogładził jej rękę. - Tamten związek kompletnie mnie wypalił, zniechęcił. Frannie przyjęła moje oświadczenia i gdy tylko mogła, odwiedzała mnie w jednostce, była bardzo aktywna towarzysko. Byłem tylko podoficerem, jednak ona potrafiła, korzystając z tego, że jest moją narzeczoną, nawiązać mnóstwo znajomości.

- Miała w tym swój cel...

- Tak, i to ściśle określony. Kiedy zacząłem naciskać, byśmy wyznaczyli termin ślubu, po prostu mnie wyśmiała. Stwierdziła, że owszem, marzy jej się ślub, ale nie z jakimś tam kapralem, którym wówczas byłem, tylko z wyższą szarżą.

- Powiedziała ci to wprost? Aż trudno uwierzyć...

- Stwierdziła, że jestem dla niej za kiepski, ale dzięki mnie mogła rozejrzeć się tu i ówdzie, i właśnie zwraca mi pierścionek zaręczynowy, bo już nie jest jej potrzebny. Okazało się, że już była związana z owdowiałym komandorem, który właśnie czekał na admirałski awans...

- Zrobiła więc karierę...

- Tak, wkrótce została panią admirałową. A ja straciłem wiarę w miłość, w ogóle zraziłem się do kobiet. Naprawdę mocno to przeżyłem.

- To okropne, co ona zrobiła. Ludzie się rozstają, to normalna sprawa, ale w taki sposób... Bardzo mi przykro... - powiedziała Kerry. - Naprawdę bardzo mi przykro. Taka nieuczciwość, taki cynizm. Wprost trudno uwierzyć.

- No właśnie... Byłem pewien, że już nigdy się nie zakocham. Lecz gdy zobaczyłem ciebie, poczułem, że wpadam w sidła. Zrozum mnie, Kerry, tak właśnie to odczułem. Ale ty jesteś zupełnie inna, taka dobra, kochana i otwarta... zupełnie jak dziecko. A zarazem odważna, a przy tym niezwykle mądra, jak ktoś, kto wiele przeszedł i zna życie od podszewki. - Zapatrzył się w jej drobną dłoń.

- Quinn, też się nie spodziewałam, że się jeszcze zakocham, ale tak się stało i nic na to nie poradzę. Też jesteś pełen sprzeczności, czym tak bardzo mnie ująłeś. Z jednej strony weteran wojen, twardy i groźny facet, a z drugiej - delikatny i wrażliwy chłopak, spragniony uczucia i kochający ludzi.

Odetchnął z wielką ulgą, ogarnęła go niezmierna radość, poczuł się szczęśliwy.

- Kerry, to cudowne... to wspaniałe! Wiedziałem, że mnie lubisz, ale obawiałem się... że twoja miłość do męża jeszcze nie wygasła, że nie ma w twoim sercu dla mnie miejsca.

- Nigdy nie zapomnę Lee, ale zrozumiałam, że należy do wspomnień, do przeszłości. Byłam zrozpaczoną wdową, z nikim się nie spotykałam, i nagle pojawiłeś się ty. Zakochałam się w tobie, ale nie pytaj, kiedy to się stało i jak. Podziwiałam ciebie od samego początku, ale miłość? Nagle zrozumiałam, że zawładnęła moim sercem, tyle ci mogę powiedzieć. - Była przejęta, ale cały czas jej twarz promieniała

szczęściem. - Nie szukałam mężczyzny, Quinn, nie wierzyłam, że znajdę kogoś tak cudownego jak Lee. Ale spotkałam ciebie. I stało się. - Głos jej się załamał, po policzkach popłynęły łzy.

- Kerry... - Ukląkł przy niej. - Kerry, też nie wiem, jak to się stało, ale kocham cię, kocham... i jestem tego absolutnie pewien, choć bardzo boję się tego, co do ciebie czuję. Boję się, bo to nie jest ani dobre miejsce, ani czas na miłość. Każde z nas może zginąć na służbie...

- Mnie się to prawie udało, ale żyję i za jakiś czas wracam do strefy. I znowu będziemy razem.

Quinn zacisnął nerwowo palce na jej dłoni.

- Słyszałem o tym, ale wcale mnie to nie cieszy. To przedwczesna decyzja. Jeszcze nie powróciłaś do sił, nie jesteś jeszcze w formie.

- Lekarze uważają, że za tydzień mogę wrócić do pracy, Morgan się zgodził - powiedziała z przekonaniem.

- Wiem, to właśnie od niego mam tę wiadomość, ale wcale mnie ona nie cieszy. Będę umierał ze strachu o ciebie.

- Ale będziesz tam przecież ze mną?

- Oczywiście, kochanie, nie opuszczę cię ani na chwilę, będziemy pracować razem. Ale nie zawsze będę mógł uchronić cię przed złem.

Przerabialiśmy już to, przecież wiesz...

- Nie możemy tak myśleć, bo to do niczego dobrego nie doprowadzi. Zaczniemy lękać się własnego cienia, zadręczymy się na śmierć. Trzeba patrzeć do przodu i odważnie iść za marzeniami... a także robić to, co do nas należy. I choć ludzkie życie jest kruche, należy ufać, że wszystko będzie dobrze. Bo ja ufam, Quinn...

Jej słowa natchnęły go niezwykłą wiarą.

- Wierzę ci, Kerry.

- To dobrze. A teraz dość tych górnolotnych rozważań, Quinn. -  
Uśmiechnęła się cudownie. - Jeśli zaraz mnie nie pocałujesz, to się  
wścieknę...

Roześmiał się. Był pełen energii i czuł się jak ptak, który szybuje ku  
niebu. A potem objął Kerry, mocno przytulił i odnalazł jej usta.

Wiedziała, że ten pocałunek na zawsze pozostanie w jej pamięci.

Quinn promieniał szczęściem, a jego czule spojrzenie przysłoniła  
delikatna mgła pożądania.

- Jesteś idealną kobietą, uroczą, piękną, mądrą i dzielną. Nie  
wierzyłem, że kiedyś będę trzymał cię w objęciach.

- Więc pocałuj mnie jeszcze, twoje usta są takie cudowne -  
zamruczała jak kotka i mocno przylgnęła do jego ciała. Zaplotła ręce  
wokół jego szyi i zamknęła oczy.

Zatopił palce w jej włosach i pieścił je delikatnie, muskając ustami  
szyję, oczy, czoło. Potem dłonie Quinna zaczęły błądzić wzdłuż jej ciała, a  
ich usta złączyły się w namiętym pocałunku. Poczuli, jak przeszłość  
odpływa od nich gdzieś daleko, tam gdzie jest jej miejsce. Ich oddechy  
stały się głośne i ciężkie, a nimi zaważadnęło tylko jedno pragnienie -  
pragnienie spełnienia.

Nagle odsunął ją nieco. Otworzyła powoli oczy i zobaczył w nich  
prawdziwe szczęście i miłość.

- Jesteś wspaniała - szepnął. - Pragnę cię całym sobą.

Nieprzytomnie spojrzała na niego, lecz zaraz uśmiechnęła się uroczo.



- Tak, ale potrzebuję trochę więcej czasu. Jak powtarzała moja mama, na dobre rzeczy warto poczekać. - Roześmiała się. - Zresztą będziemy teraz mieć pełne ręce roboty.

- To niestety prawda, bo wkraczamy w fazę krytyczną. Potrwa to jeszcze długie tygodnie albo i miesiące, nim sytuacja się ustabilizuje.

Twarz Kerry zmieniła się w jednej chwili, bez śladu zniknęła gdzieś beztroska, a na jej miejsce pojawił się wielki niepokój i obawa.

Wiedział, że niepotrzebnie powiedział o dramatycznej sytuacji w Los Angeles, na moment zapomniał, że dla niej to również bardzo ważna sprawa. Ale cóż, wciąż myślał o makabrycznych warunkach, w jakich tam żyli ludzie i nie zdołał zapanować nad językiem.

Kerry rozejrzała się niespokojnie po szklarni, wypełnionej morzem kwiatów i przecudnymi zapachami. To był nierealny, nieprawdziwy świat, jakaś dekoracja, złudzenie. Rzeczywistość była gdzie indziej.

W piątej strefie, za którą Kerry była odpowiedzialna, i gdzie wciąż ginęli ludzie.

- Zawsze, kiedy przynoszą mi posiłek, myślę o tych, którzy umierają w mojej strefie z głodu - powiedziała cicho. - Ja się obijam, a oni potrzebują pomocy. Czuję bezsilność i wściekłość.

- Co ty mówisz, przecież miałaś ciężki postrzał, omal nie pożegnałaś się z tym światem, Kerry! Tam i tak niczego szybko nie da się zmienić, bo to żywioł i nie ty jesteś temu winna. Spójrz na siebie, zmizerniałaś, nie masz sił. - Pogłodził ją po plecach. - Zobacz, wystają ci żebra. Musisz nabrać sił, dojść do siebie, inaczej Morgan nie wyśle cię na akcję. - Już moja w tym głowa, pomyślał podstępnie. - Na razie nie jesteś w stanie harować jak wół, a tam o niczym innym nie może być mowy.

- Wiem, ale ciężko mi żyć ze świadomością, że mogłabym coś dla nich zrobić, a tymczasem siedzę tu beczynn timer. ..

- I to kocham w tobie najbardziej. Naprawdę jesteś wspaniała, Kerry, ale wszystko w swoim czasie, Słońce ty moje. Gdyby ci pozwolić, zatraciłabyś się w tej swojej dobroci. Petuli oddawałaś całą żywność, którą udawało ci się zdobyć, choć sama skręcałaś się z głodu. Ale za nic nie chciałaś się do tego przyznać, ty mój skarbie nieoceniony... Dopiero jak zacząłem pilnować, żebyś jadła, było trochę inaczej.

- Niełatwo cię oszukać, prawda? A tak się starałam... - Roześmiała się i wtuliła w jego ramiona.

- Chyba nie. W twoich oczach widać wszystko, wystarczy umieć patrzeć.. - Ujął ją pod brodę. -Masz serce jak na dłoni, a jest ono tak wielkie i wspaniałe jak słońce. I dlatego... kocham cię, Kerry, właśnie dlatego.

- I ja ciebie kocham - wyznała, gładząc go z czułością po policzku.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że mamy dostatecznie dużo czasu, by się nawzajem poznać i w życiu, i w pracy. Ale tak mi ciężko, kiedy jestem tam, w strefie, i nie mogę na ciebie nawet popatrzeć... Czuję się, jakby brakowało mi drugiej połowy. Bez ciebie nigdy nie będę kompletny. Z jednej strony mnie to przeraża, ale z drugiej napenia wielką radością. Co za paradoks!

- Więc bójmy się razem - powiedziała Kerry, a w jej oczach pojawiły się łzy. - Życie stało się jednym wielkim chaosem i trudno mi się z tym pogodzić, ale najbardziej zadziwia mnie, że z czegoś tak strasznego, jak ta katastrofa, narodziło się coś tak pięknego. Znalazłam ciebie, Quinn... Czy to sprawiedliwe?

- Nie ma sprawiedliwości, a może raczej jest, ale nie przychodzi od razu. Trzeba być cierpliwym. Czasem opłaca się poczekać. Twoja mama miała rację. Kto by pomyślał, zakochałem się w tobie bez pamięci i nie potrafię wyobrazić sobie bez ciebie ani jednego dnia. Czy to nie zadziwiające?

RS

## EPILOG

*1 lutego, godzina 6.00*

Quinn wbiegł po schodach i jak bomba wpadł do biura Trayherna. Przysiadł się do Kerry, pogładził ją po włosach i dopiero wtedy odetchnął. Odkąd wybuchła epidemia cholery, departament logistyki pracował jak oszalały. Morgan miał tak zatroskaną twarz, że można było pomyśleć, iż w jego życiu wydarzyła się jakaś wielka, osobista tragedia. Przekrwione, podpuchnięte oczy wskazywały, że spał bardzo niewiele. Za wszelką cenę chciał pokonać czas, by zapobiec ostatecznej katastrofie.

- Kawy, sir? - zapytał Quinn, ściągając brwi. Przykry był to widok, bo cenił tego człowieka ponad wszystko.

- Nie, dziękuję, mam już dziś za sobą niejedną - odparł Morgan i podniósł głowę znad biurka, na którym piętrzyły się sterty papierów i teczek ze sprawami nie-cierpiącymi zwłoki.

I pomyśleć, że była zaledwie szósta rano. Quinn przeczesał z zakłopotaniem palcami włosy i spojrzał na

Kerry. Była dziś pierwszy dzień po długiej przerwie w pracy. Postrzał na nodze zabliznił się już niemal całkowicie, pozostały tylko czerwone ślady po szwach. Lekarze nie chcieli zgodzić się na jej powrót do strefy, ale walczyła tak długo, aż wreszcie dopięła swego. Quinn też uważał, że powinna pozostać jeszcze jakiś czas w Camp Reed, ale nie sposób było jej to wytłumaczyć. Tak bardzo chciała wrócić do swoich, że nikt nie zdołałby jej powstrzymać. Wiedziała, że musi się trochę oszczędzać, ale chciała znaleźć się przy ludziach, którzy czekali na nią i

potrzebowali jej wsparcia. Pragnęła też zobaczyć małą Pet, przytulić ją do siebie i przekonać się na własne oczy, że jest cała i zdrowa.

Morgan westchnął ciężko, wyciągając ze sterty teczkę, której szukał od kilku minut. Otworzył ją i położył przed nimi. Na korytarzu huczało jak w ulu, przewijały się dziesiątki ludzi. Wszyscy się spieszyli, mieli poczucie uciekającego czasu i zaprzepaszczonych szans.

Na obszarze objętym katastrofą ludzie umierali już nie dziesiątkami, lecz setkami. Wszyscy wiedzieli, że jeżeli natychmiast nie zostaną podjęte decydujące kroki, niebawem setki zamienią się w tysiące i nie będzie kogo ratować. Za wszelką cenę trzeba było wysłać ekipy medyczne.

Morgan przekładał kartkę po kartce i wyjaśniał im szczegóły dotyczące dalszego przebiegu akcji.

- Wreszcie, po długich zmaganiach z biurokracją, udało mi się doprowadzić do tego, że pomoc medyczna stała się zadaniem priorytetowym. Nasze władze w końcu pojęły fakt, że mamy do czynienia z epidemią. Ale nie było to proste, możecie mi wierzyć...

- Całe szczęście, sir, bo bez tego cała misja wydaje się być pozbawiona sensu. To bardzo dobra wiadomość - pokiwał głową Quinn.

- Tak, to prawda, ale kosztowało mnie to wiele nieprzespanych nocy i mnóstwo siwych włosów na głowie. W żaden sposób nie pojmuję, jakim cudem na kierownicze stanowiska trafiają tacy twardogłowi... żeby nie powiedzieć idioci. - Morgan westchnął ciężko. - Kerry?

- Tak, sir?

- Pierwsza ekipa medyczna pojedzie do twojej strefy.

- Dziękuję, sir, bardzo dziękuję. - Była ogromnie uradowana.

Morgan zmarszczył brwi.

- Właściwie nie wiem, czy jest to powód do radości, bo musisz wiedzieć, że sytuacja w twojej strefie jest najtrudniejsza... - Zawiesił głos.

- Ludzie, ignorując ostrzeżenia, czerpią wodę do picia, gdzie tylko się da, jakby zawładnęło nimi jakieś szaleństwo. Nie baczą wcale na fakt, że jest skażona i zanieczyszczona. A wynikiem tego jest tyfus, cholera, salmonella... tracimy dużo dzieci i niemowląt.

Tragedia w Los Angeles wyrzeźbiła na twarzy Morgana głębokie bruzdy. Kerry dopiero teraz to dostrzegła.

- To straszne. - Smętnie pokiwała głową, a jej euforia prysła jak mydlana bańka. - Ale to bardzo ważne, sir, żeby ludzie przekonali się, że ktoś o nich myśli, ktoś nad tym wszystkim czuwa. Dziękuję panu za ten wybór, bo to da ludziom nadzieję...

- No właśnie, prawdę mówiąc, o niczym innym tak nie marzę, jak o tym, żeby wysłać do strefy kilku zapasionych senatorów czy kongresmanów... Niechby popatrzyli sobie na ten bezmiar nieszczęścia, niechby sobie tam pożyli, może wtedy zrozumieliby, o co w tym wszystkim chodzi, bo mówi się do nich jak do ściany.

Podziwiała odwagę i upór Trayherna. Wiedziała, że to tylko jego zasługa, że wreszcie coś w tej kwestii się ruszyło. To on dotarł do samego prezydenta, by naświetlić dramatyczną sytuację wokół Los Angeles i przekonał go, że najistotniejszą sprawą jest wysłanie do obszaru objętego katastrofą lekarzy. W tej walce był całkowicie osamotniony. Znała jego przeszłość i wiedziała, że w Wietnamie poznał, co to jest epidemia, a potem, w Legii Cudzoziemskiej, co to głód i wyczerpanie. Miał ogromne doświadczenie i doskonale potrafił oszacować sytuację oraz sporządzić prognozę na przyszłość.

- Twój oddział, Quinn, skierowałem wraz z grupą medyczną na rekonesans. Udało mi się ściągnąć najbardziej doświadczonych epidemiologów wojskowych, a tacy służą w marynarce. Pomogą wam stworzyć sztab kryzysowy i rozpocząć walkę z panoszącymi się chorobami i ludzką niefrasobliwością, a raczej głupotą. Nie będzie to łatwa walka, z góry was uprzedzam.

- Wysła pan mój oddział razem z grupą medyczną? - Quinn nie wierzył własnym uszom. Czy robił to dla nich, żeby mogli być blisko siebie?

- Tak, ale to żadna przysługa, Quinn. W piątej strefie nadal grasują bandyci, a nie wolno dopuścić, by lekarze wpadli w ręce tych łajdaków. Nic gorszego nie mogłoby się nam przytrafić. Po pierwsze lekarze i niższy personel są na wagę złota, a poza tym zaraz podnieśliby szum nasi szanowni kongresmani. Wspomogą was również żołnierze, których ściągnąłem z Kosowa.

- To doskonały pomysł, sir.

- Znasz porucznika Roca Gunnisona, Quinn?

- Trochę... Kiedyś pracowałem z nim w Camp Reed, ale szybko został wysłany za granicę.

- Co to za człowiek, synu? Tylko szczerze, bez tej cholernej politycznej poprawności.

- Naturalnie, sir.

- Chcę wiedzieć, jaki on jest, szczególnie że ma współpracować z doktor Samantą Andrews. To mądra i rozsądna kobieta, energiczna i twarda. Dlatego tak o nią walczyłem. Jest szefem grupy medycznej.

Quinn pokiwał głową.

- O doktor Andrews słyszałem sporo, ateczka Gunnisona na pewno gdzieś tu jest. - Spojrzał na stos dokumentów.

- Nie chodzi teraz o teczkę. Znam jego ojca, to wyjątkowo majątny człowiek, wybitny przedsiębiorca, od lat prowadzi firmę komputerową. Roc też nie jest byle kim, studiował w Annapolis, w najlepszej szkole marynarki w całych Stanach, i skończył ją z wyróżnieniem. Wiesz, o czym mówię, to najlepsi ludzie w kraju, a on, możesz mi wierzyć, jest naprawdę dobry w tym, co robi. Interesuje mnie, jaki mają do niego stosunek jego ludzie. Jest lubiany przez swoich podwładnych?

- Wiem, że go szanują.

- To nie to samo. Jest bowiem duża różnica między tym, czy się kogoś lubi, czy szanuje. Chciałbym, aby Gunnison był dowódcą, za którego jego oddział wskoczy w ogień.

Ale Quinn przemilczał tę uwagę, gdyż kierując się informacjami, jakie posiadał, specjalnie użył słowa „szanują”.

Morgan przez chwilę jeszcze mamrotał coś pod nosem, bardziej do siebie niż do Quinna, aż w końcu zapytał:

- Spotkałeś doktor Andrews?

- Tak, sir, to nie jest kobieta, lecz prawdziwe tornado. Morgana ucieszył szacunek, jaki zobaczył w oczach

Quinna, kiedy mówił o Samancie. Wyprostował się, a jego twarz pojaśniała. Trzęsła całym szpitalem, była w nim główną postacią. Poza tym, że uważana była za najlepszego specjalistę, to jeszcze miała świetny kontakt z pacjentami. Doskonale sobie radziła w sytuacjach stresowych i kryzysowych, nigdy nie traciła głowy i nie wpadała w panikę. Do tej misji była wręcz wymarzoną osobą.



- No dobra, Quinn, a teraz mi powiedz, na czym polega problem z Gunnisonem? Tylko, proszę, bądź ze mną szczery, bo nie ma czasu na zabawę w kotka i myszkę. Słucham.

- Z szacunku dla pana, sir, nigdy nie ośmieliłbym się na żadne gierki. Jest takie powiedzenie, które dobrze obrazuje problem, choć może nie do końca. Wie pan: „Wyżej dupy nie podskoczysz”.

- Nie przy kobiecie, żołnierzu... - Morgan zmarszczył brwi. - Czy masz na myśli, że jest bufonem o ograniczonych możliwościach i nie potrafi nikogo zaakceptować?

- Coś w tym stylu, choć nie chcę powiedzieć, że nie jest dobry. Po prostu uważa, że nigdy nie popełnia błędów, ma siebie za nieomylnego. To wszystko.

- To świetnie.

- Jest szalenie ambitny, sir...

- To nie jest zła cecha charakteru.

- Nie, ale obawiam się, że z doktor Andrews będą działać na siebie jak płachta na byka.

- Jestem wam bardzo wdzięczny za tę uwagę, poruczniku, w ten sposób załatwiliście mi cały dzień.

- Jest mi bardzo przykro, sir, przepraszam, nie chciałem tego, ale nalegał pan.

- Nie przepraszaj, naprawdę jestem ci wdzięczny. Wolę znać prawdę.

- Wiele razy miałam do czynienia z doktor Andrews - wtrąciła się Kerry. - Nie sądzę, by pozwoliła sobie jeździć po głowie, nawet oficerowi, który uważa siebie za nieomylnego. Jest zdecydowana i stanowcza, ale przy tym komunikatywna.

- Właśnie o to chodzi. Nie dopuści do tego, żeby jakiś głupek się wymądrzał, i z miejsca mamy potężny konflikt. Dziękuję wam za pomoc. Jesteś gotowa na lot do domu? - zwrócił się ciepło do Kerry.

- Oczywiście, sir. - Uśmiechnęła się zadowolona.

- A zatem pamiętajcie, punktualnie o siódmej.

- Dziękuję panu za wszystko, co pan dla mnie zrobił

- dodała. - Jest pan niczym mój anioł stróż.

- Anioł stróż? A gdzie jest moja aureola? Ktoś mi ukradł aureolę! - Roześmiał się. - Ale cóż, nie wszyscy mnie kochają, droga Kerry. Jest sporo osób, które mnie przeklinają i życzą mi jak najgorzej, uważając, że jestem wcielonym diabłem. - Zamyślił się na moment.

- Szczególnie tam, na Kapitolu - dodał po chwili. -Wiele razy poruszałem niebo i ziemię w dobrej sprawie, no i niektórzy mają mnie serdecznie dosyć. Marzą o tym, żeby się mnie wreszcie pozbyć, dlatego dają mi to, czego potrzebuję, a raczej to, czego potrzebują ludzie, tym razem w regionie Los Angeles.

Miała ochotę wstać i uściskać pułkownika. Był prawdziwym bohaterem, z uporem walcząc o ludzi, o których inni woleliby zapomnieć. Wzruszył ją niemal do łez, które na szczęście udało jej się powstrzymać.

Quinn podniósł się powoli i spojrzał czule na Kerry.

- Jesteś gotowa do wyjścia? - Uśmiechnął się.

- Tak, oczywiście. - Wstała ostrożnie, pamiętając o zawrotach głowy, które nachodziły ją od czasu do czasu.

Morgan uniósł do góry rękę w geście pożegnania.

- Bądźcie zdrowi i niech Bóg ma was w swojej opiece. Będziemy w kontakcie. Jak się spodziewam jutro, albo najpóźniej pojutrze dotrze do was ekipa medyczna.

- Tak jest, sir! - Quinn zsalutował i otworzył drzwi, przodem przepuszczając Kerry.

Kiedy byli już na zewnątrz, podał jej ramię.

- Chodź, moja maleńka, moje ty Słońce...

- Dziękuję ci za wszystko - szepnęła. Jej serce wypełniało bez końca uczucie dla Quinna, które w ciągu ostatniego tygodnia nabrało niezwyklej intensywności. - Myślisz, że doktor Andrews poradzi sobie z tym Gunnisonem? - zapytała z obawą w głosie.

- Mam nadzieję, choć to trochę tak, jakby wpuściło się lisa do kurnika.

- A kto jest lisem?

- Sam nie wiem, ale już wkrótce się przekonamy.

- Stawiam na doktor Andrews - powiedziała po namyśle Kerry. - Jest jak Amazonka, jak księżniczka Xena, sprawiedliwa i waleczna.

- Gunnison też nie jest od parady, to twardy i zdecydowany oficer, ale strasznie zadufany w sobie. Naprawdę zawsze musi mieć rację i zrobi wszystko, by to udowodnić.

- No dobra, wszystko okaże się w praniu. - Uśmiechnęła się. - Postawimy namiot dla ekipy medycznej blisko naszego i będziemy obserwować tę walkę.

- Dobrze, kochanie, masz rację, to świetny pomysł. - Nachylił się i pocałował ją w policzek. - To co, zakładamy się?

- Czemu nie, oczywiście stawiam na doktor Andrews. Jest lepsza.

- A ja na Roca, bo jest lepszy.

- E tam, jaki tam lepszy. Po prostu faceci z piechoty morskiej zawsze trzymają się razem. Zwykle kumoterstwo, nic więcej.

- I tak cię kocham - roześmiał się Quinn.

- Dobrze mieć tę pewność.

Wsparła się na jego ramieniu i ruszyli przed siebie ku nowemu, wspólnemu życiu

RS